

Powiat



Nr 8-9 (77-78), Lipiec - Sierpień 2007
Rok VII * ISSN 1730-7686

SŁUPSKI

Tarcza nie będzie zagrażać
Nowy program zatrudnienia
Każdy może skorzystać
Komu potrzebna aukcja rybna?
Ach te wiejskie zabawy...
Mini traktat o przyjaźni i przyjaciółach
Wieś Tworząca



FORUM PSZCZELARZY 2007





Drodzy Czytelnicy!

Letnie miesiące nie rozpieszczały nas pogodą, bogate były za to w wydarzenia społeczne. Przede wszystkim Słupsk – stolica regionu – był organizatorem XIII Światowych Igrzysk Polonijnych. Taka impreza w historii miasta (także powiatu słupskiego) nie miała nigdy wcześniej miejsca. Ponad tysiąc polonusów, którzy przyjechali z różnych stron świata, miało nie tylko możliwość sportowych zmagania, ale także zobaczenia, jak wygląda współczesny Słupsk, jak wygląda Ustka (tutaj także odbywały się zawody), jak miasta te są zorganizowane, jak żyje się w nich ludziom.

Pobyt w Słupsku tak dużej grupy przybyszów z zewnątrz był doskonałą okazją do promocji miasta i powiatu. Igrzyska poprzedził Sejmik Olimpijski w Ustce. Towarzyszyły im koncerty renomowanych zespołów artystycznych. Słupsk naprawdę pokazał się z jak najlepszej strony. W tym czasie, z myślą o gościach, odbyły się Słupskie Dni Gospodarki (z wystawą gospodarczą) i „Święto Ryby”.

Dla nas, w powiecie ważną sprawą okazała się ewentualna budowa w Redzikowie amerykańskiej tarczy antyrakietowej. Prawie zupełnie pominięcie w tej sprawie opinii społecznej i nie informowanie mieszkańców Słupska i powiatu słupskiego o zamiarach lokalizacji w Redzikowie takiej inwestycji, zmusiło nas, tzn. władze samorządowe powiatu i wiejskiej gminy Słupsk, do zdecydowanej interwencji w Ministerstwie Obrony Narodowej. Moja bezpośrednia wizyta u ministra Aleksandra Szczygło i wójta Mariusza Chmiela u ministra Romana Polko okazały się skuteczne. Dziś zdecydowanie więcej wiemy już na temat tarczy. Pokazaliśmy, że lokalne samorządy, szczególnie te, na których terenie tarcza ma powstać, w przypadku podejmowania tak ważnych decyzji mają też coś do powiedzenia.

Jesteśmy gospodarzami tych terenów i należy się nam rzetelna informacja na temat planowanych inwestycji oraz ich skutków społecznych. Nawet jeżeli dotyczą one spraw bezpieczeństwa i daleko wykraczają poza granice gminy czy powiatu. Wizytą w MON udało się przełamać bariery w dostępie do szerszych informacji na temat tarczy. Dzięki temu społeczne obawy, w związku z jej planowaną budową, będą mniejsze lub być może zostaną całkowicie zniwelowane.

Sławomir Ziemianowicz
Starosta Słupski

„POWIAT SŁUPSKI” - Biuletyn Informacyjny

Wydawca: Starostwo Powiatowe w Słupsku. Redaguje zespół: **Zbigniew Babiarczyk** (przewodniczący), **Leszek Kreft** (z-ca przewodniczącego), **Jan Fąfara**. Adres redakcji: Wydział Polityki Społecznej, Starostwo Powiatowe, 76-200 Słupsk, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 059 842 54 17, fax. 059 842 71 11; e-mail: zych@powiat.slupsk.pl; Skład komputerowy i łamanie: **Artur Wróblewski**. Zdjęcia: **Jan Maziejuk, Leszek Kreft**. Druk: Zakład Poligraficzny „Grawipol”, 76-200 Słupsk, ul. Poznańska 42. Na okładkach: XI Święto Ryby 2007 w Słupsku.

Biuletyn rozsyłany jest do radnych, parlamentarzystów, sołtysów, jednostek OSP, szkół, domów kultury, jednostek organizacyjnych powiatu, firm biznesowych oraz urzędów miast i gmin. Zamieszczany jest również na stronie internetowej: www.powiat.slupsk.pl

W numerze:

Głównie oświata	4
Tarcza nie będzie zagrażać	5
Nowy program zatrudnienia	6
I... nowe programy w pośredniaku	6
Utargowali bezrobotnych	7
Wizyta psychiatrów	8
Poznawali powiat	8
Drugi sztandar	9
Obelisk Stanisława Kądzieni	10
Wolontariusz Jerzy Buzek	10
Poparcie dla lotniska	11
Program z ludzką twarzą?	12
Na oświetlonej plaży	13
Zdrowie zależy od środowiska	13
Każdy może skorzystać	14
Nauczycielskie niepopularne?	15
Aby wiara była wielka	16
Nasz dobry, uśmiechnięty biskup	16
Komu potrzebna aukcja rybna?	19
Muzyka organowa i kameralna	21
Do chleba - serca i miłości trzeba	22
Zlikwidowane szkoły	23
Ach te wiejskie zabawy...	24
Muzyką złączeni	26
Aktywni zawodowo i społecznie	28
Mini traktat o przyjaźni i przyjaciółach...	30
Od depresji do paranoi	33
Takie „Kaszubskie Echo”	35
Wspaniali	36
Autobusem do Czołpina	37
60 strażackich lat!	38
Mają nową strażnicę	39
Wojenne dramaty	41
W świecie bajek Kleksa	41
Wędrowniki po skansenie naszych praprzodków	42
Ten orzeł jeszcze patrzy...	43
Mam pomysł na znalezienie wraku	46
Pod Krzyżem Hanzeatów	48

Głównie oświata

W okresie od czerwcowej do sierpniowej sesji Zarząd Powiatu Słupskiego przedłożył komisjom jedenaście projektów uchwał Rady Powiatu. Do każdego z projektów dołączono uzasadnienie. Projekty te były szczegółowo analizowane na posiedzeniach komisji.

Większość uchwał dotyczyła spraw oświatowych, w tym likwidacji szkół ponadgimnazjalnych, do których nie było naboru lub nabór ten był zbyt mały. Zdecydowano o likwidacji: Liceum Ogólnokształcącego i Liceum Profilowanego wchodzących w skład Zespołu Szkół Leśnych i Ogólnokształcących im. prof. Stanisława Sokołowskiego w Warcinie (tym samym o zmianie nazwy szkoły na - Zespół Szkół Leśnych im. prof. Stanisława Sokołowskiego w Warcinie), II Liceum Profilowanego wchodzącego w skład Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. Mikołaja Kopernika w Ustce, I Liceum Profilowanego wchodzącego w skład Zespołu Szkół Technicznych w Ustce, Szkoły Policealnej wchodzącej w skład Zespołu Szkół Technicznych w Ustce, Zasadniczej Szkoły Zawodowej Specjalnej wchodzącej w skład Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego im. Marynarza Polskiego w Damnicy i Technikum Uzupełniającego dla Dorosłych Nr 6 wchodzącego w skład Zespołu Szkół Agrotechnicznych im. Władysława Reymonta w Słupsku. W kolejnym projekcie Zarząd dokonał też zmian porządkowych we wcześniejszej uchwale w sprawie ustalenia regulaminu przyznawania nagród ze specjalnego funduszu

dla nauczycieli i placówek powiatu słupskiego. W innych zdecydował również o zmianach w budżecie powiatu na 2007 rok i przystąpieniu do Programu Likwidacji Miejsc Niebezpiecznych na Drogach.

Zarząd podjął również osiem uchwał własnych, w tym w sprawie podziału środków Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych (zmniejszono wydatki na pożyczki a zwiększono na turnusy rehabilitacyjne oraz likwidację barier architektonicznych), a także powierzenia stanowiska dyrektora Zespołu Szkół Technicznych w Ustce Józefowi Masłowskiemu, który wygrał konkurs na to stanowisko. Specjalnemu Ośrodkowi Szkolno-Wychowawczemu w Damnicy powierzono zadanie przygotowania i przeprowadzenia postępowań o udzielenie zamówienia publicznego w związku z realizacją programu „EDUKACJA – pomoc w dostępie do nauki”. Przedmiotem tego programu jest dofinansowanie ze środków PFRON projektów realizowanych przez ten Ośrodek. Dotyczą one zakupu mikrobusu oraz wyposażenia placówki. Powołano też Komisję do przeprowadzenia egzaminów na stopień awansu zawodowego nauczyciela mianowanego. O awans taki ubiegały się bowiem dwie

osoby - nauczyciele matematyki i chemii.

Zarząd zajmował się także sytuacją mieszkaniową usamodzielniających się wychowanków placówek opiekuńczych i rodzin zastępczych. W tej sprawie zwrócono się z prośbą do wójtów gmin Głównicy, Potęgowo, Dębica Kaszubska, Ustka, Damnica i Słupsk o rozważenie możliwości udzielenia pomocy w uzyskaniu lokalu socjalnego przez pełnoletnich wychowanków tych placówek i rodzin zastępczych. Członkowie Zarządu zapoznali się również z informacją na temat przeprowadzonego naboru do szkół ponadgimnazjalnych na rok 2007/2008. W dniu 6 lipca zakończono podstawowy nabór. Łącznie do 19 oddziałów przyjęto 493 uczniów na 609 przygotowanych miejsc. Jedynie do Zespołu Szkół Leśnych i Ogólnokształcących w Warcinie udało się zebrać komplet uczniów, natomiast w Zespole Szkół Technicznych w Ustce było 67, a w Zespole Szkół Agrotechnicznych w Słupsku 19 wolnych miejsc.

W związku z brakiem nowych chętnych do korzystania z Bursy Młodzieżowej w Ustce Zarząd zdecydował o nie tworzeniu nowej grupy wychowawczej, a tym samym o nie zatrudnianiu wychowawcy. Uczniom pełnoletnim zaproponowano zakwaterowanie hotelowe na zasadach opłat „bursowych”. W sprawie propozycji przeniesienia siedziby Filii Powiatowego Urzędu Pracy w Ustce okazało się, że zmiana lokalizacji byłaby niekorzystna z uwagi na koszt, które trzeba by ponieść na adaptację budynku nieprzystosowanego obecnie do pracy urzędu. Omawiano też kwestię budowy tzw. rowerostrady do stolicy „Krainy w Kratę”, czyli do Swołowa. Istnieje możliwość pozyskania środków z funduszy unijnych na to zadanie w wysokości 75 proc. kosztów kwalifikowanych. Ponadto istnieje możliwość dofinansowania tego typu projektów z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Gdańsku na poziomie 100-200 tys. zł. Fundusz ten nie finansuje jednak sporządzania dokumentacji technicznej.

Na jednym z posiedzeń członkowie Zarządu spotkali się z Leszkiem Czarnobajem – wicemarszałkiem Województwa Pomorskiego i Markiem Biernackim – radnym Sejmiku Wojewódzkiego. Omawiano sprawy związane z organizacją służby zdrowia i ewentualnego udziału powiatu w przekształceniach jednostek służby zdrowia. M.in. uznano za konieczną budowę szpitala psychiatrycznego oraz poprawę usług pogotowia ratunkowego. Wskazano również na konieczność udziału samorządów, na terenie których znajdują się zakłady opieki zdrowotnej, w zarządzaniu tymi zakładami, a także partycypowania w kosztach ich utrzymania.

Grażyna Śniadała
Wydział Organizacyjny

Tarcza nie będzie zagrażać

Już po kilku dniach odbyło się spotkanie w MON, podczas którego A. Szczygło z gronem ekspertów wyjaśniał, na czym polega tzw. defensywny system obrony raketowej, jak funkcjonuje baza wojskowa i jakie są konsekwencje jej obecności dla ludzi i najbliższego otoczenia.

Minister zastrzegł się, że trwałą negocjacje ze stroną amerykańską i nie zapadły jeszcze decyzje co do miejsca lokalizacji tarczy antyraketowej w Polsce. Nasz kraj jest jednak idealnym miejscem dla tego typu instalacji, ponieważ nad Polską przebiegałaby trasa lotu wrogich rakiet.

Eksperti szczegółowo wyjaśnili, w jaki sposób następuje kontrakcja w przypadku wystrzelenia rakiety balistycznej przez przeciwnika. Rozgrywa się ona w kosmosie, rakietą obronna nie zawiera ładunku wybuchowego i niszczy wraży obiekt samą siłą kinetyczną głowicy podczas zderzenia. Głowice te nigdy nie mogą być uzbrojone, ponieważ nie są do tego przystosowane, rakietą jest napędzana paliwem stałym, więc nie ma zagrożenia eksplozją na ziemi i skażenia środowiska. Instalacje łączności i radarowe też nie są niebezpieczne, bowiem używają bardzo wąskiej wiązki promieniowania skierowanej ku górze. Obawy o atak terrorystyczny są płonne, ponieważ zamachowcy nie atakują miejsc umocnionych.

Szacuje się, że tarcza w Polsce może zajmować od 300 do 600 ha powierzchni. Pracowałoby w niej 200 - 300 żołnierzy i inżynierów. Będzie też obsługa cywilna, której znaczną część mogą stanowić okoliczni mieszkańcy. Funkcjonowanie bazy będzie miało wpływ na rozwój zaopatrzenia i usług w miejscowościach, w których ona powstanie. Do jej budowy miałyby być zaangażowane także firmy polskie.

Amerykańska baza nie będzie eksperymentalna i funkcjonować ma tak, jak i inne obiekty wojskowe w kraju. Oznacza to wpływy z podatków do gminnej kasy. Niestety, w przypadku Redzikowa są i ujemne strony lokalizacji tarczy antyraketowej. Gdyby tam powstała, wtedy



Fot. L. Kreft

nie byłaby możliwa budowa lotniska cywilnego, o które usilnie od lat zabiegają lokalne samorządy.

Pod koniec września br. w siedzibie starostwa odbędzie się specjalna sesja Powiatu Słupskiego, na którą przyjadą specjaliści z MON i jeszcze raz wyjaśnią wszystkie problemy związane z planowaną inwestycją. W tym czasie, kiedy starosta rozmawiał z ministrem obrony narodowej, wójt gminy Słupsk, Mariusz Chmiel spotkał się z szefem biura bezpieczeństwa narodowego, gen. Romanem Polko. Nazajutrz (17.08) obaj samorządowcy na konferencji prasowej w Starostwie Powiatowym w Słupsku dzielili się informacjami z rozmów w Warszawie. Obaj uzyskali zapewnienia od swoich rozmówców, że będą informowani na bieżąco o postępie negocjacji w sprawie warunków i lokalizacji amerykańskiej tarczy antyraketowej w Polsce.

Leszek Kreft
Rzecznik Starosty Słupskiego

Starosta słupski, Sławomir Ziemiałowicz zwrócił się do ministra obrony narodowej, Aleksandra Szczygło o spotkanie w sprawie tzw. amerykańskiej tarczy antyraketowej. Minister zareagował błyskawicznie.

Nowy program zatrudnienia

Uchwaleniu Programu promocji zatrudnienia oraz aktywizacji lokalnego rynku pracy na lata 2007 – 2013 poświęcono, głównie, czerwcową, X Sesję Rady Powiatu Słupskiego.

Program uwzględni główne kierunki działań wynikających z Europejskiej Strategii Zatrudnienia, która wyznacza cele w zakresie rozwoju rynku pracy i wzrostu zatrudnienia: osiągnięcie pełnego zatrudnienia, poprawę jakości i produktywności pracy, wzmocnienie spójności społecznej i integracji.

Wiele projektów będzie realizowanych przy wsparciu Europejskiego Funduszu Społecznego (EFS) w ramach Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki. W programie określono priorytety lokalnej polityki promocji zatrudnienia oraz aktywizacji rynku pracy odnoszące się tak do powiatu słupskiego, jak i miasta Słupska. Zbieżne są one z priorytetami i celami ujętymi w regionalnych dokumentach strategicznych, w tym w Strategii Rozwoju Społeczno – Gospodarczego Powiatu Słupskiego na lata 2001 – 2011 oraz Strategii Miasta Słupska.

Na sesji przyjęto również uchwały: w sprawie zmiany w budżecie powiatu na 2007 rok oraz w sprawie wyrażenia zgody na ustalenie wartości jednego punktu w złotych dla opracowania miesięcznych stawek wynagrodzeń w jednostkach oświatowych. Dokonano zmian w kilku obowiązujących dotychczas uchwałach.

Reprezentantami powiatu słupskiego w Pomorskiej Regionalnej Organizacji Turystycznej zostali wybrani starosta Sławomir Ziemianowicz i p.o. naczelnika Wydziału Rozwoju i Inwestycji Powiatu - Joanna Orłowska.

Dwie inne uchwały, dotyczące regulaminów przyznawania stypendiów uczniom szkół ponadgimnazjalnych i studentom z powiatu słupskiego na wspieranie rozwoju edukacyjnego w ramach Europejskiego Funduszu Społecznego, dostosowano do aktualnie obowiązujących w tym względzie przepisów. (K)

I... nowe programy w pośredniaku

W Powiatowym Urzędzie Pracy w Słupsku realizowane są nowe programy dla osób bezrobotnych.

Uruchomiono wojewódzki program „Buduj dla Pomorza”. Skierowany jest on do kobiet i mężczyzn nie posiadających kwalifikacji zawodowych oraz osób zamierzających zmienić kwalifikacje zawodowe, w tym w szczególności dla osób długotrwale bezrobotnych. Zorganizowane zostaną szkolenia dla 45 osób, 15 osób skierowanych zostanie na staże, a 40 na przygotowanie zawodowe. Program ten, jak sama nazwa wskazuje, związany jest z branżą budowlaną.

Inny program „Inwestycje w kwalifikacje deficytowe na rynku pracy” jest adresowany do osób do 25 roku życia, długotrwale bezrobotnych, oraz osób powyżej 50 roku życia bez kwalifikacji zawodowych, samotnie wychowujących co najmniej 1 dziecko do 7 roku życia oraz do osób niepełnosprawnych. Tym

bezrobotnym udzielone zostaną dotacje na doposażenie lub wyposażenie stanowiska pracy - dla 20 osób. Jednorazowe środki na podjęcie działalności gospodarczej otrzyma 15 osób. Na staże skierowanych zostanie 50, a na przygotowanie zawodowe 30 osób.

W ramach kolejnego programu „Edukacja dla pracy” przewidziano szkolenie w zakresie stolarstwa dla 8 osób oraz przygotowanie zawodowe dla 8 osób. Taka sama grupa osób, bez kwalifikacji zawodowych powyżej 25 roku życia z wykształceniem podstawowym, gimnazjalnym lub średnim ogólnym, pochodzących z obszarów wiejskich i małych miast, skierowana zostanie na przygotowanie zawodowe.

Jeszcze jeden program - „Praca dla młodych – dobry start” jest adresowany do bezrobotnej młodzieży do 25 roku życia.

Dodatkowo będą mogli z niego skorzystać absolwenci szkół wyższych w wieku do 27 roku życia zarejestrowani jako bezrobotni w okresie od upływu 12 miesięcy od dnia wydania dyplomu, świadectwa lub innego dokumentu poświadczającego ukończenie szkoły wyższej. W ramach tego programu przewidziano m.in. dziesięć jednorazowych dotacji na rozpoczęcie działalności gospodarczej oraz 20 miejsc stażowych.

Powiatowy Urząd Pracy w Słupsku zaprasza bezrobotnych do skorzystania z wymienionych wyżej form wsparcia a pracodawców do składania wniosków, które można pobrać ze strony internetowej www.pup.slupsk.pl lub w pokoju nr 4 przy ul. Fabrycznej 1.

Marcin Horbowy
Powiatowy Urząd Pracy w Słupsku

Wytyczne Ministerstwa Gospodarki i Pracy w Krajowym Planie Działań na Rzecz Zatrudnienia na 2005 rok wyraźnie wskazują, iż: „Dla zwiększenia efektywności starań podejmowanych przez służby zatrudnienia, potrzebne jest większe niż dotąd egzekwowanie wyznaczonych prawem obowiązków bezrobotnych.”



Fot. J. Maziejuk

Utargowali bezrobotnych

18 czerwca br. Powiatowy Urząd Pracy w Słupsku przeprowadził III Forum Aktywizacji Rynku Pracy – V Pomorskie Targi Pracy. Z 214 zaproszonych pracodawców wzięło w nich udział 53, którzy zaoferowali 700 miejsc pracy. Dodatkowo w dyspozycji było około 2300 ofert zatrudnienia dostępnych w PUP.

Do udziału w Forum zaproszono także lokalne instytucje, działające na rzecz aktywizacji rynku pracy: Centrum Edukacji Pracy i Młodzieży, Ochotniczy Hufiec Pracy, Zamiejskowy Wojewódzki Urząd Pracy w Słupsku, Centrum Informacji i Planowania Kariery Zawodowej, Słupskie Stowarzyszenie Innowacji Gospodarczych i Przedsiębiorczości.

Z bazy danych PUP wybrano grupy bezrobotnych. Mieszkańcy każdej z gmin zostali podzieleni na dwie do czterech grup i wezwani na godziny od 10.00 do 12.00. W praktyce miało to oznaczać, że co godzinę (10.00, 11.00, 12.00 i 13.00) na halę „Gryfia” przybywa grupa około 1.500 osób.

Osoby bezrobotne wezwane były na różne godziny, aby uniknąć kolejek i aby miały możliwość dojazdu środkami komu-

nikacji publicznej. Do ich obsługi skierowano 30 osobową grupę pracowników PUP.

Ponadto w ramach tzw. dobrych praktyk zaproszono firmy: Glassart - wyrób i sprzedaż witraży, NAILS SALON - stylizacja paznokci, JOLMAT Kebab Miś i Unia-Famarol. Bezrobotni obecni na Targach mogli zatem porozmawiać z osobami, które uzyskały dotacje na rozpoczęcie własnej działalności o tym, czy warto otworzyć własny interes, jakie napotkali przeszkody itp.

Wola i jednoznaczna gotowość osób bezrobotnych do współpracy z instytucjami rynku pracy jest nieodzownym warunkiem zwiększającym skuteczność aktywnych działań na rzecz rynku pracy. Niektórzy formalnie bezrobotni to osoby, które rejestrują się w urzędzie pracy w celu uzyskania uprawnień socjalnych (zasiłek i ubezpieczenie społeczne). Wykreślenie z rejestrów bezrobotnych osób nie wykazujących rzeczywistej aktywności w dążeniu do zwiększenia swoich możliwości uzyskania zatrudnienia, nie spowoduje poprawy sytuacji na rynku pracy, ale umożliwi bardziej trafne i skuteczne stosowanie instrumentów rynku pracy”.

Na słupskie III Forum przybyło łącznie około 6000 osób – 3927 to bezrobotni wezwani przez PUP, a zainteresowanych podjęciem pracy było tylko ok. 500 osób. Z rozmów z pracodawcami wynikało, że ok. 300 osób złożyło kwestionariusze do pracy oferowanej na stanowiskach.

Forum przyczyniło się do wyłączenia z ewidencji PUP 1305 osób z tytułu niestawiennictwa, 458 osób - z tytułu podjęcia pracy. Ponad 450 osób usprawiedliwiło nieobecność. Należy dodać, że już w maju i na początku czerwca pośrednicy przyjęli około 150 oświadczeń o podjęciu zatrudnienia przez osoby, które zostały wezwane do stawiennictwa na Forum, a zapomniały o fakcie zatrudnienia powiadomić urząd pracy.

Od decyzji orzekających o utracie statusu bezrobotnego z powodu niestawiennictwa na Forum odwołało się 19 bezrobotnych. Z tej liczby uznano 6 odwołań, 6 decyzji zostało utrzymanych w mocy przez wojewodę pomorskiego, a 7 jest w trakcie rozpatrywania.

Marcin Horbowy
Powiatowy Urząd Pracy w Słupsku

W dniach 21-24 czerwca br. w powiecie słupskim przebywała grupa pracowników i pacjentów opieki psychiatrycznej z partnerskiego powiatu Herzogtum Lauenburg. Niepubliczny Specjalistyczny Psychiatryczny Zakład Opieki Zdrowotnej SON w Słupsku współpracuje z psychiatrami z powiatu Lauenburg.

Wizyta psychiatrów

Współpraca obu powiatów, w ramach Polsko-Niemieckiego Towarzystwa Zdrowia Psychicznego, trwa już kilka lat. Odbyło się już kilka spotkań lekarzy na terenie Polski i Niemiec. Również pacjenci z obu powiatów uczestniczyli w wyjazdowych turnusach rehabilitacyjnych.

Tegoroczne spotkanie dotyczyło opieki środowiskowej i socjalnej nad

osobami z zaburzeniami psychicznymi. Goście z Niemiec zapoznali się z funkcjonowaniem słupskich placówek, odwiedzili też Środowiskowy Dom Samopomocy w Rumsku (gm. Głównicyce) oraz Dom Pomocy Społecznej w Lubuczewie. W Warcinie, w tamtejszym zespole pałacowym, spotkali się m.in. ze starostą słupskim Sławomirem Ziemianowiczem. Szczególnie zbudowani byli wizytą w

Środowiskowym Domu Samopomocy w Rumsku, którzy urzekł ich swoją rodzinną atmosferą i - jak podkreślano - bardzo dobrą organizacją pracy. Dom Pomocy Społecznej w Lubuczewie pełni funkcję dużej placówki, ale i tutaj pracownicy i pacjenci opieki psychiatrycznej z Niemiec byli mile zaskoczeni panującą w nim czystością, ogólnym porządkiem i dobrym zorganizowaniem.(z)

Poznawali po

W czerwcu br. powiat słupski odwiedziła też delegacja partnerskiego powiatu cieszyńskiego, ze starostą Mirosławem Koźdoniem. Była to pierwsza wizyta nowego starosty cieszyńskiego w słupskim powiecie.



Drugi sztandar

Zespół Szkół Agrotechnicznych w Słupsku obchodził jubileusz 55-lecia i nadania nowego sztandaru. Jest to już drugi sztandar w historii tej szkoły.

Fot. L. Krefit



Uroczystości odbyły się 23 czerwca br. Wzięli w nich udział uczniowie, absolwenci szkoły, nauczyciele, rodzice, fundatorzy sztandaru, a także za-

proszeni goście, w tym wszyscy dyrektorzy szkół ponadgimnazjalnych i jednostek oświatowych z powiatu. Władze samorządowe reprezentowali starosta słupski, Sławomir Ziemiałowicz i Ryszard Nosko - członek Zarządu Powiatu.

Starosta, poza życzeniami i kwiatami, przekazał uczniom prezent w postaci nowego odtwarzacza wideo. Pięknie o roli sztandaru w życiu szkoły mówiła Barbara Kołakowska - dyrektorka Liceum Ogólnokształcącego w Ustce. Uczniowie w krótkich scenkach artystycznych przypomnieli 55-letnią historię swojej szkoły, nie zapominając o roli, jaką spełnił w niej (i spełnia nadal) patron - Władysław Reymont. Uformowanym szpalerem podziękowali wszystkim za udział w uroczystościach.

Słupska szkoła rolnicza powstała w 1951 roku i początkowo nosiła nazwę Liceum Rolnicze. W 1952 zmieniła nazwę na Państwowe Technikum Rolnicze w Słupsku. W maju 1972 roku decyzją ministra edukacji przyjęła imię Władysława Reymonta. Z tej okazji Komitet Rodzicielski ufundował szkolny sztandar. Od 1974 roku przyjęła nazwę Zespołu Szkół Rolniczych im. Władysława Reymonta. Pierwsze zajęcia odbywały się w baraku przy ulicy Szczecińskiej 79, który dziś już nie istnieje. Na jego miejscu postawiono nowy budynek, służący do dziś, a w 1987 roku oddano do użytku drugi budynek, tzw. „nową szkołę”. Oprócz budynków w posiadaniu szkoły był do 1976 roku duży areał ziemi (ok. 200 ha). Uczniowie pod nadzorem nauczycieli zawodu prowadzili opłacalną produkcję roślinną. Uprawiali zboża, buraki cukrowe, ziemniaki, owoce. Prowadzili też produkcję zwierzęcą. Obecnie m.in. na tych terenach znajduje się Osiedle Niepodległości, w którym mieszka prawie jedna trzecia słupszczan. (z)

wiat

Cieszynianie zapoznali się z funkcjonowaniem Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie, spotkali się ze starostą Sławomirem Ziemiałowiczem, członkami Zarządu Powiatu i naczelnikami niektórych wydziałów. Poznali walory Słowińskiego Parku Narodowego oraz usteckiego kurortu.

W Ustce gościom pokazano tamtejsze Liceum Ogólnokształcące, zorganizowano spotkanie z wójtem gminy - Anną Sobczuk-Jodłowską.

W Kępicach spotkali się z burmistrzem - Piotrem Markiem

Mazurem, zapoznali z działalnością Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie oraz poznali tamtejszy zespół pałacowo-parkowy z mieszczącym się w nim Zespołem Szkół Leśnych i Ogólnokształcących.

Goście z Cieszyna odwiedzili jeszcze rekonstruowaną Zagrodę Alberta w tworzonym Centrum Animacji Kultury w Swołowie i przejechali się zmodernizowaną drogą powiatową Bruskowo - Słupsk. W Ustce zapoznali się z działalnością aukcji rybnej.

W powiecie cieszyńskim po wyborach samorządowych również nastąpiła zmiana na funkcji starosty cieszyńskiego, zmienił się też pra-

wie cały Zarząd Powiatu i była to pierwsza wizyta nowego delegata powiatu słupskiego ze starostą Sławomirem Ziemiałowiczem odwiedziła powiat cieszyński. (z)



Wolontariusz

Eurodeputowany Jerzy Buzek, były premier RP, zaproszony przez Centrum Inicjatyw Obywatelskich w Słupsku, spotkał się w siedzibie gminy Słupsk z uczestnikami Letniej Szkoły Liderów w Tuchomiu i członkami organizacji pozarządowych z miasta i powiatu.

J. Buzek z uznaniem wyrażał się o działalności społecznej organizatorów spotkania. Podkreślił, że występuje tu przede wszystkim w roli działacza wolontariatu studenckiego. Towarzyszył mu szef Polskiego Stowarzyszenia Pedagogów i Animatorów KLANZA z Lublina, Zdzisław Hofman.

Tematem spotkania była rola organizacji społecznych w rozwoju mikro i makroregionalnym. Były premier podkreślił, że przyszłość należy do ruchu obywatelskiego, ponieważ samorządy i rząd wszystkich problemów nie rozwiążą. Wzajemna inspiracja i współdziałanie dają znakomite efekty, co jako eurodeputowany widzi w krajach Unii. Modelowy wręcz przykład stanowi Katalonia. Barcelona rozwija się wspaniale wraz z całym regionem. Jest to efekt tzw. złotego trójkąta, na którego wierzchołku jest samorząd, a po bokach nauka i biznes.

- Wzmocnienie samorządów i rozwój organizacji pozarządowych jest warunkiem



Obelisk Stanisława Kądzieli

W piątą rocznicę śmierci Stanisława Kądzieli, pierwszego po reformie administracyjnej kraju starosty słupskiego w latach 1998 – 2002, w pod-słupskiej Kobylnicy stanął pamiątkowy obelisk przy ulicy nazwanej Jego imieniem.

Uroczystego odsłonięcia dokonała Krystyna Kądziała - małżonka wraz z synem Maciejem, Mirosław Batruch - radny Sejmiku Województwa Pomorskiego i Józef Gawrych - przewodniczący Rady Gminy Kobylnica. Miejscowi księża poświęcili obelisk.

Skromna inskrypcja na dużym polnym głazie zawiera lata życia oraz pełnienia funkcji starosty wraz z napisem: „Działacz ludowy, społecznik”.

Fundatorami są mieszkańcy gminy i jej wójt. - Staszek był dobrym i mądrym człowiekiem. Wiele się od niego nauczyłem,

również jako samorządowiec – powiedział Leszek Kuliński, wójt gminy Kobylnica.

Wspomnienie o St. Kądzieli przedstawił zebranym rzecznik prasowy starosty słupskiego, Leszek Kreft.

Na tę skromną, acz podniosłą uroczystość przybyli przyjaciele, współpracownicy i znajomi byłego starosty. Nie było sztandarów, oficjalnych delegacji, wzniosłych przemówień.

Przyszli po prostu ci, którzy odczuwali taką potrzebę. Składali wiązanki kwiatów, dzielili się wspomnieniami podczas rozmowy. **(K)**



Fot. L. Kreft

Jerzy Buzek



koniecznym dla rozwoju Polski. Niestety, obecne tendencje do centralizacji państwa i eskalacja nieufności do obywateli temu nie służą – mówił eurodeputowany. - Musimy pamiętać, że dwie trzecie środków z Unii Europejskiej będzie rozdzielanych poprzez organizacje pozarządowe.

Z. Hofman z KLANZY mówił o tym, jak ważna jest praca z dziećmi i młodzieżą, ich wychowanie i edukacja. Szczególnie dotyczy to dzieci z małych środowisk, dotkniętych dużym bezrobociem i dysfunkcją rodzin. Trzeba przeciwdziałać m.in. wyuczonej bezradności i wielką rolę upatruje tu w wolontariacie studenckim

W trakcie spotkania wójt gminy Słupsk, Mariusz Chmiel opowiadał o swojej gminie, na której sukcesy składa się także dobra współpraca ze wszystkimi społecznymi i gospodarczymi partnerami.

Jerzy Buzek pogratulował wójtowi 21. miejsca na liście najlepszych gmin w Polsce w rankingu dziennika „Rzeczpospolita”. **(K)**

Fot. L. Kreft

Poparcie dla lotniska

W Słupsku przeprowadzono akcję poparcia dla jak najszybszego przekazania przez Ministerstwo Obrony Narodowej terenów po byłym lotnisku wojskowym gminie Słupsk.

Powiat słupski od lat opowiadał się za takim rozwiązaniem i wspólnie z samorządami miasta i gminy Słupsk wielokrotnie występował do Parlamentu RP, posłów i senatorów ziemi słupskiej oraz władz wojskowych o utworzenie cywilnego lotniska w Redzikowie. Jest to warunek niezbędny, aby region słupski mógł się rozwijać. W świecie przyjęto i sprawdzono, że są trzy podstawowe czynniki, bez

których nie można liczyć na szybki rozwój gospodarczy i społeczny. Są to: dobra infrastruktura drogowa, lotnisko i ośrodek uniwersytecki.

Starosta słupski, Sławomir Ziemianowicz jako pierwszy złożył swój podpis na liście poparcia „Inicjatywa Słupsk 2012”, a za nim prawie wszyscy pracownicy starostwa.

W ciągu kilku dni w Słupsku zebrano ok. 4 tys. podpisów, uzyskano popar-

cie radnych miejskich oraz słupskiego starostwa. 16 lipca br. Zbigniew Konwiński - przewodniczący Rady Miejskiej w Słupsku, Marcin Dadel - szef Centrum Inicjatyw Obywatelskich oraz Edward Zdrojek - przewodniczący „Inicjatywy Słupsk 2012” podpisali list i przesłali wszystkie te podpisy do Aleksandra Szczygło - ministra Obrony Narodowej. **(K)**

Program z ludzką twarzą?



niesie fachowość osób trafiających na rynek pracy.

Minister Róża Thun odniosła się do korzyści wynikających z przynależności Polski do Unii Europejskiej i wskazała na możliwości skorzystania z oferowanej przez Unię pomocy. - Niestety, nie zawsze potrafimy to robić - powiedziała. - Często brakuje nam wiedzy, informacji o formach i metodach pozyskiwania środków, leżących niemal w zasięgu ręki. Dlatego niezwykle ważna jest rola mediów w upowszechnianiu tej wiedzy.

Już podczas rozmów kulaarowych R. Thun mówiła, że nie jest w stanie zrozumieć, iż są jeszcze w Polsce gminy, które w ubiegłym roku nie pozyskały ani jednego euro z unijnej kasy. Wystąpienia obu pań były merytorycznie powiązane z Europejskim Funduszem Społecznym jako głównym narzędziem Europejskiej Strategii Zatrudnienia. Środki EFS są przeznaczone także na realizację Inicjatywy Wspólnotowej EQUAL, poświęconej przeciwdziałaniu dyskryminacji i nierówności szans na rynku pracy.

Zgodnie z projektem Narodowej Strategii Spójności, środki Europejskiego Funduszu Społecznego w Polsce na lata 2007 - 2013, zostaną przeznaczone na realizację Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki (ponad 11 mln euro). Celem tego programu jest wzrost poziomu zatrudnienia i spójności społecznej. Główne obszary wsparcia to: zatrudnienie, edukacja, integracja społeczna, ułatwienia w dostosowywaniu się pracowników i przedsiębiorstw do zmian zachodzących w gospodarce, a także zagadnienia związane z rozwojem zasobów ludzkich na terenach wiejskich, budową sprawnej i skutecznej administracji publicznej wszystkich szczebli oraz promocją zdrowia.

Szczegółowo o tym mówiły jeszcze: Dorota Bortnowska - zastępca dyrektora Departamentu Zarządzania EFS w Ministerstwie Rozwoju Regionalnego i Magdalena Świdnicka - Wołyńska - zastępca dyrektora Departamentu Wdrażania EFS w Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej. Dziennikarze obejrżeli prezentację multimedialną jednej z nagrodzonych prac w I edycji konkursu w kategorii „Ekran”. Minister A. Kalata i R. Thun oraz wiceminister pracy i polityki społecznej Bogdan Socha, podziękowali Markowi Traczykowi - prezesowi Stowarzyszenia Polskich Mediów, za pomoc w przygotowaniu konferencji, dziennikarzy zachęcali do udziału w II edycji konkursu „Ludzka twarz EFS”.

Leszek Kreft

Ministerstwo Pracy i Polityki Społecznej wspólnie z Ministerstwem Rozwoju Regionalnego i Reprezentacją Komisji Europejskiej zorganizowało konferencję prasową na temat drugiej edycji konkursu pt. „Ludzka twarz Europejskiego Funduszu Społecznego”. Patronat objęli Stowarzyszenie Polskich Mediów i Instytut Spraw Publicznych.

W sali kolumnowej Sejmu RP spotkali się dziennikarze mediów regionalnych i lokalnych z całej Polski, by wysłuchać i porozmawiać z Anną Kalatą - minister pracy i polityki społecznej, Różą Thun - szefową Reprezentacji Komisji Europejskiej w Polsce oraz innymi znaczącymi urzędnikami zajmującymi się sprawami społecznymi.

Minister Kalata omówiła sytuację na rynku pracy, wskazując na jej poprawę, zaprezentowała działania resortu w tym zakresie oraz plany na przyszłość. Zakomunikowała, że rozszerzona będzie oferta usług zatrudnieniowych, poprawi się informacja o rynku pracy, organizacje pozarządowe aktywniej włączą się do działań na rzecz zatrudnienia i ograniczania bezrobocia. Samorządy lokalne i urzędy pracy, jako najbardziej zorientowane w tych problemach, same będą określać priorytetowe kierunki wydatkowania środków na programy aktywizujące bezrobotnych. Minister poinformowała, że w czerwcu br. wdrożone zostały dwa programy: „Praca dla młodych - Dobry Start” oraz „Inwestycje w kwalifikacje deficytowe na rynku pracy”.

W czasie dyskusji, minister A. Kalata, odpowiadając na moje pytanie dotyczące powiązania szkolnictwa z rynkiem pracy, powiedziała: - Wielkim wyzwaniem jest odbudowanie systemu kształcenia zawodowego, podobnie jak i przekonanie wszystkich do kształcenia ustawicznego, wobec zmieniającego się szybko świata i potrzeb rynku. Należy też wprowadzić kształcenie dualne, łączące teorię z praktyką, co pod-

Na oświetlonej plaży

Ustka zyskała nową atrakcję turystyczną i jest jedynym miejscem nad polskim morzem, gdzie można rozgrywać nocne zawody sportowe.

4 lipca br. zainaugurowało tu działalność sztucznie oświetlone boisko do siatkówki plażowej. Tego wieczora rozegrano też pierwszy nocny turniej w siatkówce plażowej o puchar Burmistrza Ustki. Tym samym cykl turniejów „Ustka - wakacyjne centrum siatkówki plażowej” został wzbogacony o zawody przy pięknie oświetlonym boisku.

Oddanie do użytku oświetlenia boiska piłkarskiego na plaży zbiegło się z festiwalem sztucznych ogni. Zawodnikom kibicowały tysiące ludzi. Obserwujący zmagania sportowców chwalili pomysł i twierdzili, że czegoś takiego jeszcze nie widzieli.

Pierwszy nocny turniej rozegrany został w kategorii mężczyzn do lat 18-tu. Obowiązywał system pucharowy. Organi-

zatorzy ograniczyli ilość startujących par do ośmiu. Chętnych było jednak nawet 30 par.

Zawody trwały od 21-ej do 1-ej w nocy. Wzięli w nich udział zawodnicy z Łodzi, Wielunia, Słupska, Opola, Kędzierzyna - Koźła, Warszawy i Radomia. Klasyfikacja końcowa przedstawia się następująco: I miejsce: Przemek Zieliński i Bartosz Książek – Kędzierzyn – Koźle, II - Kacper Gonciarz i Krzysztof Michaliski – Radom, III - Maciej Olenderek i Mateusz Zając – Warszawa. Zawodnicy otrzymali puchary i medale ufundowane przez burmistrza Ustki oraz nagrody i upominki przekazane przez Biuro Promocji Miasta, Usteckie Forum Turystyczne oraz Ośrodek Sportu i Rekreacji w Ustce.

Zbigniew Bąk, Ustka

Zdrowie zależy od środowiska

Warsztaty zorganizowano w Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie. Przeznaczone były dla członków Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Rolnictwa w Słupsku, zaangażowanych w realizację projektu. Podczas zajęć omówiono, jaki wpływ na środowisko naturalne ma stosowanie środków chemicznych w rolnictwie, jak ważne jest ich zminimalizowanie. Uczestników warsztatów zapoznano także z aktualnymi przepisami z zakresu stosowania środków chemicznych i prawidłowymi technikami posługiwania się sprzętem rolniczym.

Nieprawidłowe stosowanie środków chemicznych w rolnictwie ma istotny wpływ na zachorowania na raka. Z tego też względu profilaktyka raka, a w szczególności raka piersi, była następnym tematem omawianym podczas warsztatów. Prowadziła je Dorota Hrynkiewicz z Dziennego Ośrodka Rehabilitacji przy Wojewódzkim Szpitalu Specjalistycznym w Słupsku. Środki ochrony roślin mają też wpływ na występowanie chorób odzwierzęcych. Ponadto niezaprzeczalnym zagrożeniem dla zdrowia na wsi jest nieprzestrzeganie podstawowych przepisów bezpieczeństwa i higieny pracy oraz brak umiejętności udzielania pierwszej pomocy w nagłych wypadkach.

Zagadnieniom tym poświęcono również wiele czasu podczas warsztatów.

Wiedza z zakresu ochrony środowiska bardzo potrzebna jest w życiu. Niewiele osób ją posiada albo nie ma odwagi jej stosować. Przeanalizowano też możliwości uprawy różnych roślin energetycznych. Wprowadzenie ich do uprawy z takim właśnie przeznaczeniem w przyszłości może mieć duże znaczenie dla środowiska i poprawy bilansu energetycznego w kraju.

Podczas warsztatów członkowie Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Rolnictwa mieli okazję zapoznać się z bogatą historią Warcina, którą przedstawił im dyrektor Zespołu Szkół Leśnych i Ogólnokształcących - Piotr Mańka. Mogli także podziwiać piękno tamtejszego zespołu pałacowo-parkowego.

W tym samym obiekcie zakwaterowany był białoruski zespół baletowy, który zaprezentował uczestnikom warsztatów część swojego programu. Warsztaty zorganizowano w ramach współfinansowanego przez Unię Europejską projektu „Podniesienie świadomości społecznej w obszarach związanych ze środowiskiem i ochrona zdrowia oraz poprawa aktywności jednostek i grup społecznych w życiu publicznym”.

**Krystyna Popiel
Sekretarz SITR w Słupsku**

Od stycznia br. w powiecie słupskim realizowany jest projekt „Ochrona zdrowia i środowiska wsi”. Zorganizowano już cztery fora rolnicze, dwa szkolenia oraz cztery prelekcje. Ostatnim zadaniem były dwudniowe warsztaty.

Każdy może skorzystać



Fot. E. Mielewczyk-Wilga

Rozmowa z Mieczysławem Szerólem – szefem firmy autokarowej „Alga” wożącej pasażerów po całej niemal Europie i Rajmundem Knapieńskim – przedstawicielem firmy hiszpańskiej Freshuelva zatrudniającej Polaków przy zbiorach owoców.

polacy w hiszpanii

- Kiedy rozpoczęła działalność i znalazła się na rynku polskim firma przewozowa „Alga”?

- M. Szerół: Firma nasza rozpoczęła działalność rynkową w kwietniu 1991 roku. Pierwsze wyjazdy na zbiory truskawek do Hiszpanii odbyły się jednak już w 1989 roku. U uruchomiliśmy wtedy linię Olsztyn – Madryt. W 1990 roku rozpoczęła działalność linia Słupsk – Neapol. Osiem lat temu ruszyły linie Elbląg – Palermo i Elbląg – Genua. W 2004 roku powstała linia Giżycko – Lecce. W latach 2004 –2006 zaczęliśmy wozić pasażerów (głównie bezrobotnych) na trasach: Giżycko – Liverpool, Giżycko – Amsterdam, Giżycko – Bruksela, Giżycko – Ken, Moskwa – Złocieniec, Złocieniec – Lwów.

Praktycznie od 1991 roku znacznie nasiliła się liczba ofert przewozowych, w tym także do Hiszpanii. W tym roku zmuszeni byliśmy nawet otworzyć tam biuro pośrednicze, które funkcjonuje pod nazwą „Famira ALGA”.

Firmę, którą kieruję stworzyłem praktycznie bez żadnej pomocy. Na rynku pro-

sperujemy już siedemnaście lat. Gdy sam przed wieloma laty wyjechałem do Niemiec, kupiłem tam dwa „przechodzone” autokary i tak powoli zacząłem rozwijać swoją działalność przewozową. Były trudne chwile, ale się nie poddawałem. Szedłem jako do przodu i dążyłem do celu. Działalność międzynarodową zaczynałem od wynajęcia autokaru do Włoch. Po dwóch latach miałem już tam jedną linię. Z początku jeździłem tylko do Włoch, a dopiero po pięciu latach zacząłem jeździć także do Belgii, Hiszpanii, Francji, Szkocji, Niemiec, Anglii.

Jestem dumny z firmy jaką sam stworzyłem, ponieważ ciężką pracą doszedłem do tego, co dziś mam i czym mogę się szczycić. W 2004 roku moja firma została uznaną Firmą Roku, a ja zostałem Człowiekiem Roku - w konkursie firmowanym przez prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego.

- Czy dużo kobiet zatrudnianych jest rocznie do pracy w Hiszpanii?

- R. Knapieński: - W Hiszpanii są cztery zrzeczenia zatrudniające obcokrajowców

do pracy przy zbiorach truskawek i innych owoców. Są to: „Freshuelva”, „Asaja”, „Cooaa” i „Cora”. Największym zrzeszeniem jest „Freshuelva” – producent owoców, który zatrudnia najwięcej zagranicznych pracowników sezonowych. Przywozi rocznie na zbiór truskawek około 12 tysięcy osób. W ubiegłorocznym sezonie przyjechało do Hiszpanii 3,5 tysiąca Polek. My zabieramy Polaków do Hiszpanii na plantacje owocowe od trzech lat. W Hevlva odbywają się zbiory truskawek i pomarańczy. Sevilla i Cadiz to rejony owoców z grubą pestką – brzoskwiń, śliwek. W Almerii pod foliami uprawianych jest tysiące hektarów pomidorów, ogórków i sałaty. W Cordobie i Bailen rosną miliony drzew oliwnych. Valdepenas to rejon uprawy winogron. Valensja jest zagłębiem pomarańczy, rosną tutaj też wszystkie inne cytrusy. Do wszystkich tych rejonów wozimy Polaków do pracy.

- Jak często organizowane są wyjazdy Polaków do zbiorów warzyw i owoców w Hiszpanii?

- R. Knapieński: - Jest wolny rynek, jesteśmy w Unii Europejskiej i Polacy chętnie korzystają z tych okazji. Ponadto Polacy sprawdzają się w pracy i są powszechnie szanowanymi pracownikami. W tym roku mamy już wiele zamówień także na zbiory winogron, pomarańczy, cytryn, sałaty, ogórków i pomidorów. Jak więc widać przywozimy ludzi z Polski nie tylko do zbioru truskawek, których sezon szybko się kończy. Na około 3,5 tysiąca, przywożonych rocznie do Hiszpanii do prac sezonowych Polek i Polaków, mamy podpisanych około 1,5 tysiąca kontraktów imiennych, a więc zwieranych nie tylko poprzez urzędy pracy. To świadczy o tym, że hiszpańscy pracodawcy zadowoleni są z naszych rodaków i nie boją się z nimi podpisywać bezpośrednich umów.

- Wyjazdy Polaków do pracy w Hiszpanii są legalne i wasza działalność jako przewoźnika i pośrednika w tych zatrudnieniach jest także legalna?

- M. Szeról: - Jako pośrednicy pracy mamy u naszych klientów pełne zaufanie, zyskaliśmy je po latach dobrej współpracy z firmami hiszpańskimi i firmami innych państw, do których wozimy pracowników sezonowych. Prowadzimy autoryzowaną, w pełni legalną firmę przewoźną do pracy za granicą. Działamy za zgodą polskiego ministerstwa. Mamy uprawnienia do przewozu pracowników do wszystkich państw w Europie, które wcześniej wymieniłem. Każdy może dzisiaj korzystać z otwartej drogi w Europie i zarabiać na lepsze życie. Nie jest to jednak zarobek łatwy, wymaga ciężkiej pracy i poświęcenia. Moja firma przewoźna liczy dzisiaj już blisko 80 osób. Wszyscy pracujemy po to, żeby sprawnie i fachowo obsługiwać naszych klientów.

Rozmawiała:
Edyta Mielewczyk-Wilga
Główczyce

Nauczycielskie niepopularne?

Zakończony został pierwszy etap rekrutacji na studia w Akademii Pomorskiej w Słupsku. Bardzo nierównomiernie rozłożyło się zainteresowanie kandydatów kierunkami studiów. Sporą niespodzianką jest odwrót od studiów nauczycielskich.



Fot. J. Maziejuk

Największą popularnością cieszyła się filologia angielska – o jedno miejsce walczyło tu 4,6 kandydatów. I tak jest od kilku już lat. Drugim kierunkiem, cieszącym się dużym zainteresowaniem, była pedagogika opiekuńczo - wychowawcza z resocjalizacją - na jedno miejsce przypadało 2,5 kandydatów. W kręgu większego zainteresowania była jeszcze biologia medyczna (1,7 kandydata na miejsce), filologia germańska oraz turystyka.

Mimo wielu informacji prasowych, sugerujących wzrost potrzeb na rynku nauczycielskim, zainteresowanie kandydatów studiami tego nie potwierdza. Nie zgromadzono w pierwszym naborze dostatecznej

liczby chętnych na historię z wiedzą o społeczeństwie, język rosyjski z angielskim, geografii z przyrodą. Na te specjalności przedłużono rekrutację do września. We wrześniu odbędzie się też następny etap rekrutacji na filologię polską, rosyjską, historię, filozofię, pielęgniarstwo, matematykę i fizykę.

Postulowana przez wiele środowisk regionalistyka, którą uczelnia zamierzała wprowadzić do oferty edukacyjnej, także nie zainteresowała młodych ludzi. Z regionalizmu pomorskiego - na stacjonarnej polonistyce oraz z edukacji informatycznej z edukacją regionalną na niestacjonarnej pedagogice uczelnia musiała zrezygnować z braku chętnych. (J.N.)

Aby wiara była

Mieszkając w El Rocio dowiedziałam się, że odbędzie się Droga Krzyżowa. Po pracy przebrałam się i poszłam do kościoła. Misterium trwało dwie godziny.

El Rocio to małe miasteczko. Pośrodku stoi kościół, a wokół niego jest wiele sklepów. Przed nimi rozciąga się ogromny rezerwat przyrody. Gdy weszłam do kościoła nogi drżały mi z wrażenia, trzęsły się niczym galareta. Przeszło przeze mnie wiele myśli i wspomnień. Atrakcją kościoła jest piękna Madonna, do której z wielu krajów zjeżdżają się ludzie, aby Ją ujrzeć. Kulawi podchodzą bliżej posągu i się modlą, prosząc o zdrowie. Matki przychodzą z niepełnosprawnymi, z chorymi dziećmi na rękach i też proszą Madonnę o wstawiennictwo u Boga.

Miasteczko El Rocio powstało, ponieważ pewnego dnia o poranku, gdy trawa była okryta jeszcze rosą, ukazała się tu ludziom

Maryja z Jezusem na ręku. Miejsce to nazwano świętym miejscem objawienia się Madonny. Hiszpanie są katolikami i mocno wierzą w swoją Madonnę. Sławią Ją wszędzie.

Gdy wychodziliśmy z kościoła na Drogę Krzyżową widziałam jak bardzo głęboko ludzie modlili się do Madonny. Niektórzy nawet płakali. W Hiszpanii panuje również przekonanie, że Jezus poniósł śmierć na krzyżu po to, aby inni mogli żyć. O tym opowiada też tutejsza Droga Krzyżowa.

Odbyna się to tak: Ludzie wynoszą najpierw posągi Madony, św. Józefa i Jezusa. W środku jest Jezus Ukrzyżowany. Wszystkie figury ustawiają na drewnianym podeście, który podczas Drogi Krzyżo-

Nasz dobry, uś

31 lipca br., w dniu św. Ignacego Loyoli, Ksiądz Biskup Ignacy Jeż obchodził swoje 93. urodziny. Senior Episkopatu Polski jest najstarszym biskupem w Polsce. W czerwcu 2007 świętował jubileusz 70-lecia kapłaństwa. Dostojny Jubilat nadal niezłomnie uczestniczy w życiu Kościoła. Oto co powiedział naszemu współpracownikowi, Jerzemu Walczakowi ze Słupska:



Fot. J. Walczak

- Już jako mały chłopiec, odmawiając w domu rodzinnym Litanie do Serca Jezusowego, słyszałem i sam to powtarzałem: „Uczyni serce moje według Serca Twego”. To oczywiście, że jest to problem łaski Bożej. Jezus czyni nas podobnymi do Serca Jego, lecz chodzi o to, aby Jezusowi nie przeszkadzać. Ważne jest, aby samemu dążyć do tego, o czym mówią poszczególnie wezwania Litanii, aby trafić do Serca Jezusowego. Serca, które jest gorejącym ogniskiem miłości, pełnym dobroci i miłości, źródłem życia i świętości. Dzieciństwo w domu rodzinnym to lata w klimacie pierwszych piątków miesiąca. Wychowanie zarówno przez rodziców jak i wychowanie w moim kościele parafialnym było naturalną drogą do naśladowania Jezusa. W latach gimnazjalnych należałem do Sodalitacji Mariańskiej i harcerstwa. To było prawdziwie siedem lat

wzrastania duchowego. I tak krok po kroku Jezus przygotowywał mnie do późniejszej pielgrzymki razem z Nim.

- Dużo pomogło mi przedwojenne harcerstwo. To była bardzo dobra organizacja dla polskiej młodzieży. Dobrze zorganizowane i dobrze prowadzone harcerstwo – w całym tego słowa znaczeniu – kształtowało w młodym Polaku zarówno dobrego patriotę jak również dobrego chrześcijanina. Rozpoczynając pracę kapłańską pozostałem nadal zapalonym harcerzem. Będąc wikariuszem parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Hajdukach pod Katowicami poświęciłem się pracy z młodzieżą. Równocześnie byłem kapelanem hufca męskiego ZHP, którego siedziba mieściła się w sąsiednich Świętochłowicach. Ten okres mojej harcerskiej formacji był fundamentem dużego hartu ducha, który tak był potrzebny w okrutnych latach pobytu w obozie koncentracyjnym w Dachau.

wielka

wej dżwiga na swoich barkach dwunastu mężczyzn przykrytych czarnym płótnem. Przed nimi idzie kolejny mężczyzna, który podpowiada im, jak mają iść.

Przy każdej stacji, kiedy procesja się zatrzyma, najpierw zebrani się modlą, a potem śpiewają pieśni. Następnie, przed tymi co niosą posągi, stają trzy kolejne osoby, które śpiewają pieśń, a wszyscy słuchają. Przed nimi jeszcze dalej idą w procesji trzy kolejne postacie trzymające w rękach berła – to przedstawiciele władzy nad Chrystusem.

Stacje rozrzucone są po całym miasteczku. Po zakończeniu Drogi Krzyżowej ludzie wracają do kościoła ze śpie-

wem i odbywa się złożenie ciała Jezusa do grobu.

Hiszpanie podczas Drogi Krzyżowej modlili się po hiszpańsku, ale ja w tym czasie modliłam się odmawiając naszą, polską modlitwę. Chciałabym, aby wiara ludzi w Boga była tak wielka i prawdziwa, jak cierpienie Jezusa, który umarł za nas na krzyżu.

Edyta Mielewczyk
– *Wilga, Główczyce*



Fot. E. Mielewczyk-Wilga

miechnięty biskup

W latach PRL-u, poza jedną zjednoczoną partią, komunizm w zasadzie nie uznawał żadnych innych organizacji. Natomiast młodzież szkolną objęto pracą organizacji pionierów. W ten sposób komunistyczny reżim zniszczył ideę takiego harcerstwa, jakie było do roku 1939. To oczywiście, że takie harcerstwo – z jego siłą i wartościami jak przed wojną – dla polskiej młodzieży jest potrzebne i dziś. Moim zdaniem to nie jest sprawa pięciu czy dziesięciu lat. To sprawa pokoleń, które będą wychowywane właśnie w takim duchu patriotyczno-religijnym, jakim wychowywano kiedyś w polskiej katolickiej rodzinie. Dawniej. Istniejący obecnie ten podział polskiego harcerstwa na dwie organizacje – Związek Harcerstwa Polskiego i Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej – także nie sprzyja tej sytuacji, aby harcerstwo z powrotem odgrywało taką rolę jak przed wojną. Trzeba powiedzieć, że są bardzo skomplikowane nie tylko sprawy organizacyjne, ale także te sprawy ideologiczne. Konieczna byłaby w potrzebny sposób jedność w działaniu instruktorów razem. Doprowadzenie do tej jedności działania nie jest takie łatwe, szczególnie w dzisiejszych naszych warunkach tak podzielonych politycznie ludzi w polskim społeczeństwie.

– Wychodząc z obozu koncentracyjnego w Dachau mieliśmy świadomość, że w obozie więźniami byli nie tylko Polacy, nie tylko Francuzi czy Włosi. Więźniami byli też Niemcy. Niemców nie było wolno wsadzać do jednego worka jako jednako-

wo myślących. W Niemczech oczywiście byli w większości tacy, którzy bez reszty popierali Hitlera. Ale byli też tacy, którzy z nim walczyli. To nam otwierało oczy, że nie wolno wszystkich jednakowo traktować. Po wyjściu z obozu uświadomiliśmy sobie, że odradzająca się na terenie Niemiec demokracja jest dla nich bardzo trudnym zadaniem i wymaga takiej pewnej pomocy ideologicznej. Uznaliśmy, że jest to możliwe, aby ich wesprzeć przede wszystkim w Kościele. Pozwoliło to na spokojny dialog z biskupami niemieckimi. Później poprzez Sobór Watykański to zbliżenie stało się bardzo wyraźne i silne. Po Soborze, jak już Niemcy gospodarczo stanęły na nogach, to okazało się, że i nam potrafili pomóc. W ten sposób pierwsze kontakty owocowały nawiązywaniem dalszych kontaktów na rozmaitym polu. Dużo pomogły wspólne nabożeństwa. My zapraszaliśmy ich do Polski, oni zapraszali nas do siebie. I w ten sposób, przede wszystkim w Kościele, nawiązanie tej łączności było stosunkowo łatwe. I przyszło zrozumienie, że nie można w nieskończoność angażować się w to, co wyrasta z nienawiści. Jednocześnie przecieź modlimy się „...odpuść nam nasze winy tak jak my odpuszczamy naszym winowajcom...”, trzeba więc było z tych słów wyciągnąć właściwe wnioski.

– Powiązanie wszystkiego co religijne z Narodem jest na pewno charakterystyczną cechą naszego życia tak narodowego, jak i religijnego. Takiego powiązania, tak

silnego jak u nas, właściwie nigdzie nie ma. Można by mówić o jakimś podobieństwie w Irlandii czy Hiszpanii lub też na Filipinach. Jednak trzeba powiedzieć, w całym tego słowa znaczeniu, że tak silne powiązanie wszystkiego, co polskie i narodowe z Kościołem Rzymsko-Katolickim, jest właściwie wyjątkiem na świecie. I z tej perspektywy trzeba tak patrzeć na Kościół w Polsce. Tak też patrzeć na nas inni. Próby wykorzystania Kościoła do celów politycznych stanowią niebezpieczeństwo, które nam z tego powodu grozi. Jeśli jednak jest to powiązanie utrzymane we właściwych granicach, jest dużą pomocą, zarówno dla ruchów narodowych jak i ruchów religijnych. Utrzymać należy zawsze tę właściwą równowagę i ten poziom, który ratował Polskę w okresie na przykład rozbiorów a potem okupacji hitlerowskiej czy komunistycznej. To właśnie tu, na Jasnej Górze – jak mówił Jan Paweł II – zawsze byliśmy wolni mimo niewoli, która panowała na zewnątrz. Taki czynnik jest ludziom bardzo potrzebny. Jest wtedy znacznie łatwiej utrzymać się na pewnym poziomie nie tylko życia religijnego, ale też narodowego. Świadectwo polskiego Kościoła jest wyraźnie widoczne i oczywiście wszyscy o tym wiedzą. I z tej perspektywy, ilekroć jesteśmy gdzieś poza granicami Polski, to tak właśnie na nas patrzono. Równocześnie korzystano z naszych doświadczeń. Ale nie wszędzie zostało to tak jak u nas zrealizowane.

Notował: Jerzy Walczak
Słupsk

Komu potrzebne

W związku z nasilającymi się problemami, dotyczącymi zbytu ryb przez rybaków w „szczytach” połowowych, oraz z powodu dostosowywania się funkcjonowania polskiej gospodarki rybnej do wymogów Unii Europejskiej postulowano stworzenie jednej bądź trzech aukcji rybnych w Polsce na wzór niemiecki, holenderski bądź brytyjski czy ewentualnie, zamiast tradycyjnej aukcji, stworzenie „tylko” elektronicznego systemu wspomagania marketingowego rybołówstwa. Z determinacją rozpoczęto przygotowania do budowy jednej z takich tradycyjnych aukcji rybnych w Ustce.

Rynek „pierwszej sprzedaży” oznacza sprzedaż przez producentów wytworzonych / złowionych towarów/surowców (ryb) w określonym miejscu i w określonym czasie. Rynek ten może być: niesformalizowany (producent sprzedaje chętnym według własnego uznania, w praktyce jak „uda” mu się sprzedać lub zgodnie z indywidualnie, z reguły wcześniej podpisanymi kontraktami); sformalizowany (w określonym miejscu i czasie następuje zetknięcie producentów i nabywców według wcześniej określonych zasad; w rezultacie kształtują się ceny i produkty zmieniają właściciela).

Centra pierwszej sprzedaży powstają wtedy, gdy towaru (surowca) jest dużo, oraz wielu sprzedających i wielu kupujących. Są to więc rynki hurtowe surowców sprzedawanych przez producentów lub w ich imieniu. Tam gdzie towar jest niejednorodny i szybko psujący się „centra pierwszej sprzedaży” historycznie nazywano aukcjami. Na aukcjach (w odróżnieniu od giełd) surowiec musi być fizycznie obecny i na przykład w przypadku ryb, szybko sprzedany. Jeśli nie uda się sprzedać, to najlepiej szybko przetworzyć (tak, aby można było przechować) lub w inny sposób zużyć (np. przeznaczyć na paszę). W przeciwnym wypadku surowiec trzeba by wyrzucić.

Charakterystyczną cechą aukcji jest to, że dokonuje się na nich sprzedaży towarów rzeczywiście istniejących i będących w dyspozycji sprzedającego. Towary aukcyjne różnią się tym od towarów giełdowych, że ich cechy jakościowe są bardziej złożone. Towary te nie pozwalają się wystandaryzować w takim stopniu, jak towary giełdowe. Konieczne jest więc poznanie towaru w naturze, aby kupujący mógł ocenić jego jakość i wartość.

Towar przeznaczony do sprzedaży na aukcji powinien więc przebywać w miejscu sprzedaży lub też niekiedy w domach składowych uprawnionych do wydawania dowodów składowych (warrantów), które sprzedający może okazać zamiast towaru (zapoznanie się z towarem umożliwia wówczas obejrzenie reprezentatywnych próbek).

W aukcjach mogą brać udział w zasadzie wszyscy zainteresowani. W praktyce jednak korzysta się często z pośrednictwa maklerów (brokerów). Znają oni bowiem dobrze miejscowe zwyczaje handlowe i jednocześnie dysponują odpowiednią wiedzą towaroznawczą.

Ceny towarów ustala się poprzez licytację. Wśród metod licytacji towaru najczęściej stosowana jest zasada ustalania dolnej

ceny wyjściowej, jako ceny wywoławczej i jej podwyższanie poprzez licytujących chętnych do kupna. Spotyka się także metodę licytacji w dół, rozpoczynającej się od bardzo wysokiej ceny, której nikt nie chce zaakceptować i stopniowe jej obniżanie.

Na aukcjach operuje się tylko określonymi partiami towarów (tzw. lotami) podlegających licytacji. Fakt dokonania kupna-sprzedaży zostaje potwierdzony przez wydanie kupującemu (lub reprezentującemu go brokerowi) odpowiedniej noty na piśmie.



Fot. J. Maziejuk

Aukcje rybne historycznie powstawały w prawie wszystkich portach rybackich. Tworzone były przez organizacje producentów rybnych, często z udziałem miejscowych władz. Miały przyczynić się do uzyskiwania „właściwych” cen, to znaczy zgodnych z prawem podaży i popytu, tak aby przejrzystość mogła funkcjonować wolny (choć sformalizowany) rynek.

Interwencjonizm państwowy

Duża zależność działalności rolniczej/rybackiej od warunków przyrodniczych, w tym sezonowość produkcji oraz większe niż w przemyśle trudności

a aukcja rybna?

w dostosowaniu się produkcji i podaży do zmian popytu na rynku, sprawiły, że w warunkach wolnego rynku występują nadmierne fluktuacje cen. W konsekwencji rolnicy/rybacy uzyskują bardzo niestabilne dochody, co uniemożliwia im m.in. planowanie działalności gospodarczej, a na rynku występują na przemian, choć nieregularnie niedobory bądź nadmiar podaży, np. ryb, przekładające się na „huśtawki” cen detalicznych i w ich następstwie spożycia powodujące dodatkowe rozchwianie podaży i popytu przez

Aukcje rybne w krajach Unii Europejskiej

W większości krajów Unii Europejskiej z dawien dawna aukcje są częścią systemu sprzedaży „z pierwszej ręki”. Sprzedaż ryb na aukcjach jest korzystna dla rybaków oraz oferuje pewne gwarancje wszystkim podmiotom zaangażowanym w procesie „pierwszej sprzedaży”. Aukcje są rynkowym narzędziem równoważenia popytu i podaży. Stanowią jednocześnie źródło informacji dotyczącej wielkości połowów i dostaw

surowca. Mogą odegrać istotną rolę w procesie zarządzania zasobami. Kupujący na aukcjach są autoryzowani przez państwo. Oznacza to m.in., że zabroniona jest sprzedaż ryb z kutra podmiotom nie posiadającym autoryzacji.

A u k c j a m i mogą zarządzać lokalne władze gminne, krajowe władze rybackie, władze portów, organizacje producentów lub firmy prywatne. Na każdej aukcji występują trzy rodzaje przepływów: fizyczny przepływ produktów, przepływ informacji i przepływ środków finansowych. Na aukcjach oferowane są także różne usługi.

Mogą one obejmować: wyładowywanie ryb na nabrzeże, przechowywanie ryb w chłodniach, ważenie skrzynek z rybą, przygotowanie produktów do sprzedaży, w tym sortowanie, prezentowanie ryb kupującym, wypożyczenie skrzynek, mycie skrzynek itp. Aukcje są także miejscami, w których dokonywana jest kontrola jakości i wielkości (rozmiarów) sprzedawanej ryby.

Aukcje umożliwiają przepływ informacji pomiędzy różnymi zainteresowanymi instytucjami (Ministerstwo, organizacje producentów, urzędy statystyczne, urzędy skarbowe, firmy prywatne). Są to informacje codzienne i okresowe, o różnym stopniu agregacji. Poszczególne aukcje wymieniają także informacje pomiędzy sobą. Aukcje

gwarantują uczestnikom bezpieczeństwo obrotu finansowego. Pozyskują dla kupujących gwarancje bankowe, sprzedającym wypłacają pieniądze po sprzedaży, pobierają pieniądze od kupujących. Aukcje pobierają także prowizje od wszystkich uczestników. Opłata od rybaków wynosi na ogół od 3 do 8 proc. wartości sprzedanej ryby.

Rynki pierwszej sprzedaży w Polsce

Bardzo szybki wzrost importu ryb oraz upadek central rybnych, które wcześniej skupowały wszystkie dostarczane przez rybaków ryby, spowodowało występowanie perturbacji rynkowych. Rybacy bałtyccy zaczęli mieć trudności ze zbytym złowionych ryb, szczególnie w sezonach połowowych, kiedy występują tzw. szczyty połowów. Głównym problemem rybaków stały się w tych okresach bardzo niskie ceny zbytu ryb, nie zapewniające opłacalności działalności połowowej. Dotyczyło to przede wszystkim śledzi (ale także szprotów), których połowy głównie z tego powodu malały.

Rybacy na własną rękę poszukiwali rynków zbytu i znajdowali je na dorsze oraz łososie (których ze względów biologicznych poławiano coraz mniej). Istniejące wówczas organizacje (zrzeszenia) producenckie nie prowadziły działalności gospodarczej, zgłaszały jednak istniejące problemy władzom oraz opinii publicznej. Przede wszystkim pod ich wpływem pojawiły się zaczątki systemu interwencji państwowego, polegającego na wprowadzeniu preferencyjnych kredytów (czyli z dopłatami ze skarbu państwa) na skup i przechowywanie ryb. Niezbyt to jednak pomogło rybakom, gdyż przetwórcy preferowali importowane śledzie, między innymi ze względu na dogodną ofertę zakupu ryb, w tym gwarancję dostaw przetwórcom przez cały rok, względnie tanich ryb na warunkach kredytowych.

Podstawowym, nierozwiązanym do końca, problemem analizowanego okresu był brak zorganizowanego hurtu rybnego w Polsce, takiego który zapewniłby rybakom pewność zbytu złowionych ryb. W latach dziewięćdziesiątych, po upadku central rybnych (w 1991 roku), każda sprzedaż ryb, dokonywana w polskich portach, stanowiła osobną transakcję pomiędzy sprzedawcą (armatorem statku) i nabywcą ryb (głównie przetwórcą).



ludność. Wolny rynek nie radzi sobie z tymi fluktuacjami. Aby ustabilizować sytuację rząd wprowadza dla producentów gwarancje: 1) sprzedaży, 2) po cenach minimalnych pokrywających producentom koszty wytworzenia z niewielkim zyskiem (uznanie niezbędności reprodukcji rozszerzonej). Pojawiają się również gwarantowane niskie ceny (nie zapewniające zysku producentom), tzw. ceny wycofania nadwyżkowych towarów, których obecność na rynku mogłaby spowodować nadmierne obniżenie wszystkich cen na aukcji. Są one wypłacane za towary wycofane ze sprzedaży i zużytkowane w ściśle określony sposób (czasem nawet zniszczone).



Fot. J. Maziejuk

Czy Polsce potrzebna jest tradycyjna aukcja rybna?

Chcąc na to pytanie odpowiedzieć, należy prześledzić przesłanki dla tworzenia aukcji. W literaturze przedmiotu przyjmuje się, że rynki zorganizowane (głównie giełdy i aukcje) tworzy się wówczas, gdy występuje znaczna, ale rozproszona podaż i znaczny, ale rozproszony popyt na określone surowce (w tym przypadku ryby). Rynki zorganizowane mają służyć stworzeniu przejrzystego systemu kupna – sprzedaży, przy gwarancji uzyskania „najlepszego” w danych warunkach cen, sprzedającym i kupującym, czego nie zapewnia system sprzedaży na rynkach niezorganizowanych.

Polskie rybołówstwo dalekomorskie w latach dziewięćdziesiątych poławiało coraz mniej, a sprzedawało swoje produkty w większości za granicą, w tym także na aukcjach (np. ikre mintaja w Korei). Dostarczało też surowce do polskich przetwórców powiązanych z poszczególnymi przedsiębiorstwami w różny sposób (np. kontraktami bądź strukturą organizacyjną, np. spółka przetwórcia „Dal-Pesca” znajdowała się w strukturze holdingowej „Dalmoru”). Malejące połowy dalekomorskie oraz istniejące kanały dystrybucji za granicą i w kraju pozwalały przypuszczać, że surowiec z polskich połowów dalekomorskich nie trafi na aukcje rybne w Polsce. Również w rybołówstwie bałtyckim połowy wykazywały generalnie tendencję spadkowo-stagnacyjną.

Rybaczy sygnalizowali problemy wyłącznie ze zbytem szprotów i śledzi, a przede wszystkim zbyt niskie ceny zbytu tych gatunków ryb w sezonie połowowym, co zniechęcało do połowów z powodu ich nieopłacalności. Przechowywanie ryb przez rybaków, przy ich słabej kondycji ekonomicznej, było niemożliwe, a kredyty komercyjne, propo-

nowane przez banki, były w tym czasie zbyt drogie.

Odbiorcy powinni być zadowoleni z bardzo niskich cen ryb w sezonie i byłoby tak, gdyby mogli kupić ryby na zapas i przechowywać je; nie wszyscy przetwórcy jednak mieli możliwości przechowywania zapasów. Ponadto nie wszystkich przetwórców stać było na „zamrożenie” w zapasach ryb posiadanych „środków finansowych. Preferencyjne kredyty skupowe nie były dla nich atrakcyjne, gdyż mogli w każdej chwili, na korzystnych warunkach kredytowych, kupować importowany surowiec rybny dla przetwórstwa, co robili, ograniczając w ten sposób popyt na surowiec rybny z krajowych połowów. Tradycyjnych przesłanek tworzenia aukcji w analizowanym okresie w Polsce nie było, ale czy sygnalizowane problemy mogłyby rozwiązać system sprzedaży aukcyjnej? Oczywiście nie.

Oczekiwania

Czemu więc niektóre środowiska rybackie domagały się tworzenia aukcji rybnych? Prawdopodobnie były dwa powody: Zwolennicy tradycyjnej aukcji i ci, którzy dostrzegali potrzebę połączenia w jedno aukcji i giełdy rybnej (wtedy w sprzedaży mogłyby znaleźć się także wszystkie przetworzone produkty), reprezentowani na przykład przez rybaków zrzeszonych w Krajowej Izbie Rybackiej w Uście zakładali, że już sama budowa obiektów (infrastruktury) przyciągnie kapitał, w tym z Unii Europejskiej, i pomoże przezwyciężyć bezrobocie (aukcja-giełda zapewni nowe miejsca pracy). Ale co potem? Czy wystarczy ryb i produktów, aby można było funkcjonować bez pomocy z zewnątrz? Entuzjaści zakładali, że wykorzystując stworzoną infrastrukturę, można na takiej giełdzie-aukcji sprzedawać inne produkty żywnościowe i nie tylko żywno-

ściowe. Mogłyby więc z czasem powstać gigantyczna hurtownia wielobranżowa. Pojawiły się także nowe przesłanki tworzenia aukcji, związane z powszechnie sygnalizowaną przez rybaków koniecznością uzyskania przez nich stabilizacji warunków działania poprzez wprowadzenie minimalnych cen skupu ryb w sezonie połowowym oraz mechanizmu wycofywania (po odpowiednich cenach) nadmiernej ilości ryb z rynku (w celu ich przechowania bądź przeznaczenia na pasze).

Zarówno pierwsza grupa osób, jak i ci, którzy zakładali konieczność stworzenia systemu interwencjonizmu państwowego na polskim rynku rybnym na wzór unijny, rozpatrywali organizacyjne ramy funkcjonowania interwencjonizmu państwowego. Nie można odmówić racji obu grupom entuzjastów tworzenia aukcji rybnej w Polsce. Jeśli powstała, to przepływ surowca i wyrobów gotowych w Polsce przebiegałby w znacznym uproszczeniu – według następujących procesów: połowy i wyładunek ryb, sprzedaż na aukcji, przetwórstwo i zamrażarnictwo, handel wewnętrzny hurtowy, import, eksport i sprzedaż detaliczna.

Zalety aukcji rybnych w Polsce: koncentracja kupujących i sprzedających, możliwa większa stabilność cen surowca rybnego, bezpieczeństwo obrotu finansowego, zwiększenie walorów portu, w którym odbywają się aukcje, stymulacja przepływu informacji dotyczących warunków i cen kupna / sprzedaży ryb, wyższa jakość oferowanych produktów – kontrola jakości, stworzenie nowych miejsc pracy.

Zagrożenia: wartościowych („drogich” ryb) jest relatywnie mało i nie ma problemu z ich zbytem, rybacy chcą sprzedawać tylko te ryby, których nie mogą łatwo zbyć (śledzie, szproty). Są to ryby tanie, więc pokrycie kosztów sprzedaży nie jest łatwe, koszty związane z funkcjonowaniem aukcji (punktów sprzedaży) są relatywnie wysokie i sprzedający nie chcą ich ponosić, podobnie zresztą jak kupujący, brak systemu gwarancji sprzedaży, cen minimalnych i cen wycofania na ryby w Polsce, dążenie kupujących hurtowników i detalistów do przejmowania kontroli nad całym procesem produkcji „od łowiska do półmiska”: są oni w stanie zaoferować korzystne ceny kontraktowe pod warunkiem uzyskania surowca rybnego o określonym jakościowo standardzie, przejrzystość sprzedaży powoduje niemożność ulokowania ryb pochodzących z połowów ponad przydzielone rybakom kwoty połowowe.

Jolanta Zieziula
Katedra Międzynarodowych Stosunków
Gospodarczych i Handlu Zagranicznego
Akademii Rolniczej w Szczecinie,

(Tekst ten został przygotowany na Forum Dyskusyjne zorganizowane podczas XI Święta Ryby w Słupsku.)

Muzyka organowa i kameralna

Wielką i coroczną imprezą w słupeckim kościele św. Jacka – organizowaną od roku 1983 - jest Festiwal Muzyki Organowej i Kameralnej. Tegoroczny Jubileuszowy XXV Festiwal obejmował osiem koncertów w środowe wieczory – od 4 lipca do 22 sierpnia – zawsze o godz. 19.00.

Głównym pomysłodawcą festiwalowych koncertów w XV-wiecznej poddominikańskiej świątyni jest wielki amator muzyki religijnej – ksiądz prałat Jan Giriłowicz, który już 26 lat (od roku 1981) jest proboszczem słupeckiej parafii św. Jacka. Dzięki jego pełnej aprobacie i zaangażowanej postawie, Słupeckie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne w roku 1983 zawarło porozumienie z ówczesnymi władzami kościelnymi. Już latem tamtego roku w kościele św. Jacka odbyło się pierwszy sześć koncertów w ramach I Słupeckich Koncertów Muzyki Organowej i Kameralnej – LATO 83. Inauguracyjny koncert – wypełniony muzyką Jana Sebastiana Bacha – wykonał wówczas nestor muzyki organowej, nieżyjący już prof. Feliks Rączkowski.

Od roku 1983 co tydzień w miesiącach letnich, kościół św. Jacka w Słupsku wypełnia się melomanami, którzy w jego murach mają jedyną w swoim rodzaju możliwość słuchania pięknej klasycznej muzyki. Zabytkowa słupecka świątynia – obok walorów architektonicznych i historycznych – ma świetną akustykę, co znakomicie predysponuje ją na miejsce letnich koncertów festiwalowych. Corocznie cieszą się one dużą frekwencją nie tylko słupeckich melomanów, ale także krajowych i zagranicznych turystów, wypoczywających na Wybrzeżu. Organy barokowe w zabytkowej scenerii, świetna publiczność i pełna przeżyć wspaniała atmosfera. Stwarza to razem niepowtarzalny klimat tej świątyni, przydający kolorytu muzyce religijnej dawnych mistrzów i dający doskonałą oprawę dla jej wykonawców.

Słupeckie festiwalowe wieczory każdego roku wypelnione są dziełami reprezentującymi cztery epoki – renesans, barok, romantyzm i współczesność. Dzięki corocznym Festiwalom Muzyki Organowej i Kameralnej, gród nad Słupią stał się eksponowanym miejscem koncertowym najwybitniejszych polskich wirtuozów gry organowej. Prawie coroczna obecność tej klasy organistów co prof. Józef Serafin (w tym roku już 21-szy raz) czy prof. Julian Gębalski, a także młodego pokolenia wirtuozów, każdorazowo potwier-

dza celowość stworzenia w słupeckiej świątyni św. Jacka wspaniałej estrady koncertowej. Kontynuacja koncepcji artystycznej – jaka przez ćwierć wieku przyświecała Festiwalom w grodzie nad Słupią – widoczna jest w konkretnych efektach. Przyczynia się do upowszechniania polskiej muzyki organowej – i nie tylko organowej – wśród różnych środowisk społecznych.

Drugim nurtem słupeckich Festiwalów jest muzyka kameralna. Na festiwalowe koncerty przyjeżdżają do Słupska nie tylko najlepsze polskie zespoły kameralne, ale także soliści, będący laureatami wielu prestiżowych festiwali muzycznych na całym świecie.

Każdy festiwalowy koncert w zabytkowym poddominikańskim kościele św. Jacka dostarcza jego słuchaczom szczególnych wrażeń. Środowe wieczory muzyczne zawsze kończy długotrwała owacja na stojąco festiwalowej publiczności dla artystów. Festiwale Muzyki Organowej i Kameralnej w Słupsku już na trwałe wpisały się w kulturalny krajobraz północnej Polski nad Bałtykiem.

Dzień inauguracji (4 lipca 2007) tegorocznego Jubileuszowego XXV Festiwalu w słupeckim kościele św. Jacka był o tyle wyjątkowy, że dokładnie w tym dniu wypadła 350. rocznica wybudowania w tej zabytkowej świątyni – unikalnych w skali kraju, a nawet Europy – wspaniałych barokowych organów. Ufundował je w XVII wieku książę Ernest Bogusław von Croy. Był ostatnim spadkobiercą dziedzictwa wymarłego rodu książąt zachodniopomorskich – Gryfitów. Książę Bogusław, świadomy swej szczególnej roli, okazał się wielkim mecenasem sztuki, mającym ambicję upamiętnienia wielkości swych przodków, a także samego siebie. W roku 1654 budowę organów – dla zamkowego wówczas kościoła – książę von Croy zlecił organmistrzowi kościoła Mariackiego w Darłowie – Paulowi Fischerowi oraz rzeźbiarzowi – tokarzowi Hansowi Eddelwerowi, także z Darłowa. Organy zbudowano przez niespełna trzy lata (1655-1667), przy czym po nagłej śmierci Paula Fischera, budowę

instrumentu grającego dokończył jego zięć – organmistrz Michał Beriegel. Obok równie wspaniałych organów w świątyni katedralnej w Kamieniu Pomorskim oraz nie istniejących już organów w Gostyniu, słupeckie organy były jednym z trzech instrumentów,



Fot. J. Maziejuk

ufundowanych przez księcia Bogusława. Te unikalne organy są wspaniałym dziełem sztuki organomistrzowskiej na miarę epoki ich powstania, o bogatej oprawie barokowej i bogatym – jak na wielkość słupeckiej świątyni św. Jacka – zespole dźwięku.

Jerzy Walczak
Słupsk

Do chleba - serca i miłości trzeba

Ulica Marynarki Polskiej w Ustce zmienia się niemal z dnia na dzień. Elegancka kostka na jezdni podkreśla urok miasta, w którym rzeka Słupia spotyka się z morzem. Od końca maja w mieście widać sporo turystów. Najwięcej – dzieci z „zielonych szkół”. Wiele wycieczek odwiedza Muzeum Piekarnictwa i Cukiernictwa przy ul. Marynarki Polskiej 49, usytuowane na piętrze budynku starej piekarni, obok Poczty.

Jednoosobowym personelem i szefem muzeum jest p. Eugeniusz Brzóska, właściciel piekarni. Urodził się w Gdyni, jeszcze przed wojną. Piekarzem był jego dziadek Teofil (i bracia dziadka), piekarzem także ojciec - Bolesław, który zdobył dyplom mistrzowski i założył własną piekarnię. Uwięziony przez Niemców i osadzony w obozie Stutthof szedł w jednej z ostatnich grup „marszu śmierci” w marcu 1945 roku do Pucka. Na szczęście Niemcy nie

Od 1961 roku już samodzielnie Eugeniusz kieruje firmą.

Muzeum – pierwsze tego typu w Polsce! - działa od kwietnia 1998 roku Na ciasnej powierzchni poddasza w starym budynku piekarni twórca i szef zgromadził mnóstwo eksponatów, a i tak eksponuje zaledwie część zgromadzonych zbiorów. Reszta – czeka na lepsze czasy - gdy szefa będzie stać na urządzenie pomieszczeń w nowym budynku. Piętro już czeka. Żeby tyl-



zdążyli załadować tych więźniów do barek odpływających z Pucka.

Po wyzwoleniu okazało się, że nie ma już czego szukać w zniszczonym domu z piekarnią na Obłuzu. Cała rodzina przyjechała w 1945 roku do Ustki. Nie od razu udało się osiąść w mieście, dość długo zajmowanym przez Armię Czerwoną. Za drugim razem – „wyszło”. Objęli piekarnię, w tym samym miejscu, w którym mieści się dziś. Tyle że już w nowym budynku. Muzeum piekarnictwa jest jednocześnie odzwierciedleniem jej dziejów. Bolesław prowadził tę piekarnię sam, potem z synem.

ko udało się znaleźć pieniądze. Jedno jest pewne: po p. Eugeniuszu schedę obejmie syn Adam, co prawda nie piekarz, ale po Akademii Rolniczo-Technicznej w Poznaniu, specjalista od zboża i ciast. Nie musiał robić dyplomów – ale dla własnej satysfakcji zdobył odpowiednie mistrzowskie papiery.

Gdybym miał określić zasadnicze cele tego muzeum, to najważniejsze mógłbym streścić w takich słowach: uczy szacunku dla chleba, dla ludzkiej pracy. Z wiekopomnego „Słownika” Lindego, pod hasłem „chleb” wyjąłem taką uwagę: „Czemu chleb, kiedy z trafunku na ziemię upadnie,

caujemy podniósłszy? Bowiem chleb jest święty" (to cytat przypisywany Erazmowi).

Czy nie dziwne, że znamy nazwiska wynalazców dynamitu, konstruktorów karabinu maszynowego, pistoletu, czołgu i innych narzędzi, służących ludzkości do niszczenia i zabijania – a nie wiemy nic o geniuszu tych, którzy służyli ludziom piekąc chleb. To na ogół szara anonimowa masa. No, chyba że piekarz trudził się w służbie wielkiego władcy i część blasku monarchy spadła i na niego.

Muzeum p. Brzóska uczy, że „cywilizacja chleba” ogarnia całą naszą planetę. Na jednej z plansz są nazwy chleba w ponad czterdziestu językach. Są stare ryciny, pocztówki, książki do nauki zawodu piekarza (pierwsze polskie wydanie – 1911 rok), dyplomy mistrza piekarskiego, pisane po polsku, niemiecku, rosyjsku. Rozliczne sprzęty, narzędzia, przeróżne gatunki cukru, przypraw. Foremki do wypieków, ciast. Sentencje dotyczące chleba i zawodu piekarza. Przykłady pomysłowości piekarzy, celowości ich pracy, bo w piekarniach nie było ani niepotrzebnych surowców, ani zbędnych narzędzi.

Nasi piekarze dość szybko weszli w nową, europejską rzeczywistość. Dobrze zorganizowani, stale doskonalący system egzaminów – łatwo nawiązali kontakty z kolegami z krajów Unii.

P. Brzóska niepokoi się o przyszłość zawodu, z którego odchodzą często młodzi, obiecujący ludzie. Wyjeżdżają – „za chlebem” – do zachodniej Europy.

- System podatkowy nie sprzyja piekarnictwu, podobnie jak innym dziedzinom rzemiosła. A przecież – powiada – polski chleb, który zachował wiele z dawnej tradycji, jest naprawdę zdrowy i smaczny, wytrzymuje porównanie z najlepszymi wyrobami z zachodniej części kontynentu.

Ale, niezależnie od koniunktury, p. Eugeniusz ciągle kupuje, gdzie się da, następne eksponaty. Technika idzie do przodu, zakłady pozbywają się starego sprzętu. Część niepotrzebnego sprzętu (a do niego należy na przykład to, czego używały kobiety na wsi do pieczenia chleba) ma walor cennych eksponatów.

Kolekcyjerskie zacięcie p. Eugeniusza znalazło ujście również na innym polu: zgromadził sporo dawnych widokówek, które z czasem złożyły się na książkę „Ustka, jakiej nie znamy”.

A samo muzeum służy ludziom na wiele sposobów. Także jako źródło inspiracji dla słuchaczy wyższych uczelni, którzy piszą prace magisterskie, opierając się na materiałach archiwalnych uzyskanych od p. Eugeniusza.

Z czystym sumieniem polecam wszystkim to usteckie „Muzeum Piekarnictwa i Cukiernictwa”. Warto zobaczyć, jak rodzi się nasz chleb powszedni!

Tadeusz Martychewicz
Ustka

Z udziałem marszałka Województwa Pomorskiego - Jana Kozłowskiego i radnego Sejmiku Województwa Pomorskiego - Marka Biernackiego rozpoczęła się 28 sierpnia br. jedenasta sesja Rady Powiatu Słupskiego. Takie spotkanie miało miejsce chyba pierwszy raz w niemal dziesięcioletniej historii powiatowego samorządu w Słupsku.



Zlikwidowane szkoły

Marszałek w swoim wystąpieniu skupił się na szansach rozwoju województwa w kontekście współpracy z Unią Europejską. Wskazał na konieczność maksymalnego wykorzystania funduszy unijnych. - Już w październiku rusza pierwszy program w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego, poświęcony wodociągom i kanalizacji – mówił marszałek i namawiał do przygotowywania projektów.

Tematami dominującymi na sesji były problemy oświatowe. Oświacie poświęcono osiem z jedenastu podejmowanych uchwał. Z powodu braku uczniów z dniem 31 sierpnia 2007 roku zlikwidowano Liceum Ogólnokształcące w Warcinie i Liceum Profilowane w Warcinie, wchodzące w skład Zespołu Szkół Leśnych i Ogólnokształcących im. prof. Stanisława Sokołowskiego w Warcinie. W związku z tym od 1 września br. szkoła będzie nosić nazwę: Zespół Szkół Leśnych im. prof. Stanisława Sokołowskiego w Warcinie.

Z tego samego powodu likwidacji uległy: II Liceum Profilowane w Ustce wchodzące w skład Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. Mikołaja Kopernika w Ustce, Szkoła Policealna w Ustce wchodząca w skład Zespołu Szkół Technicznych w Ustce,

Zasadnicza Szkoła Zawodowa Specjalna w Damnicy wchodząca w skład Specjalnego Ośrodka Szkolno - Wychowawczego im. Marynarza Polskiego w Damnicy i Technikum Uzupelniające dla Dorosłych Nr 6 w Słupsku wchodzące w skład Zespołu Szkół Agrotechnicznych im. Władysława Reymonta w Słupsku. Uchwalono też stopniową likwidację, do 31 sierpnia 2009 roku, Liceum Profilowanego w Ustce, wchodzącego w skład ZST w Ustce, do którego nie będzie już naboru.

Ponadto zmieniono uchwałę Rady Powiatu Słupskiego w sprawie ustalenia regulaminu przyznawania nagród nauczycielom szkół i placówek powiatu, podjęto uchwałę w sprawie zaciągnięcia zobowiązania wekslowego, uchwałę w sprawie zmian w budżecie na rok bieżący i uchwałę w sprawie przystąpienia do Programu Likwidacji Miejsc Niebezpiecznych na drogach. W końcowej części sesji, odpowiadając na pytanie radnej Ewy Lewkowicz, przewodniczący Rady, Ryszard Stus jasno i klarownie przedstawił skomplikowaną sytuację środowiska medycznego w Wojewódzkim Specjalistycznym Szpitalu Zespolonym w Słupsku, którego jest dyrektorem. (K)

Ach te wiejskie za



Fot. J. Maziejuk

Chciałabym przypomnieć jak odbywały się jeszcze do niedawna nasze polskie, wiejskie zabawy. Ludzie mieszkający na wsiach, pomimo ciężkiej pracy w polu i w zagrodzie, każdą wolną chwilę umilali sobie muzyką i śpiewem. Na wsiach powstało najwięcej pieśni ludowych. Ludzie tworzyli je przy pracy na polu, pasieniu bydła, na wesełach, chrzcinach, na pogrzebach.

Charakterystyczne były wiejskie zabawy. Miały swój niepowtarzalny klimat, barwę. Brała w nich udział cała wiejska społeczność. Pamiętam wiele takich zabaw z czasu mojej młodości, która przypadła na lata sześćdziesiąte.

Jest niedzielny wieczór. Ludzie już od tygodnia przygotowują się do zabawy. Rozwieszono afisze od kilku dni informują, co gdzie i kiedy się odbędzie.

Najczęściej organizatorem takiej zabawy jest działający przy miejscowej szkole Komitet Rodzicielski, młodzież zrzeszona w Kole Związku Młodzieży Wiejskiej, strażacy.

Wybierany był komitet organizacyjny, którego zadaniem było umówić i zgodzić orkiestrę, przygotować bufet obficie zaopatrzone w napoje z procentami, czerwoną oranżadę w charakterystycznych butelkach zamykanych na sprężyny, w kanapki z kiełbasą i kiszonym ogórkiem. Była też osoba, która zajmowała się sprzedażą biletów, na pokrycie kosztów organizacyjnych zabawy. Były to pocięte karteczki z zeszytu w kratkę, z wypisaną ceną i koniecznie, żeby były wiarygodne, z urzędową pieczęcią organizatora.

Sala przystrojona kolorowymi wstążkami, naciętymi z kolorowej bibułki.

Pośrodku sali, miejsce na tańce. Stoły przykryte papierowymi obrusami wypożyczone od miejscowych gospodarzy. Ławy drewniane pod ścianami (wtedy jeszcze nie było plastikowych krzeseł), na których już rozsiadły się starsze kobiety, babcie z wnuczkami. Dzieciaki kręcą się po sali, zaglądają na scenę.

Przyjechali muzykanci. Rozkładają instrumenty, przeważnie grają w czteroosobowym składzie. Jest akordeonista, skrzypek, ktoś, kto gra na instrumencie dętym i oczywiście bębniści.

I gdy tylko popłyną pierwsze takty melodii, jak na zawołanie, pojawiają się dziewczęta, te miejscowe i te z innych wiosek. Wystrojone w to, co miały najładniejszego, uczesane jakoś inaczej jak na dzień.

W latach sześćdziesiątych modne były sukienki szerokie dołem, które dodatkowo nosiła i poszerzała specjalna halka suto marszczona i usztywniana. Do tego niezbędny był szeroki, czarny pasek, który obejmował talię. Były to paski z gumy lub plastikowe z ozdobną klamrą. Pantofelki typu baleriny lub szpileczki dopełniały całości.

Dziewczęta zgrupowane, nieśmiało rozglądają się dyskretnie obserwując męską część sali. Chichoczą udając, że nie są specjalnie zainteresowane przyszłymi partnerami do tańca. Podpierają ściany lub gdzie niegdzie przysiadają na ławach. Kawalerowie w garniturach, w koszulach typu „non eiron”, w krawatach i butach typu lakierki, lustrują okiem znawcy, panny.

Każdy wypatrywał najładniejszej. I kiedy muzyka zagrała, każdy ruszał po swoją z góry upatrzoną. Nie daj Boże, żeby ktoś mu wszedł w drogę lub go ubiegł. Taki delikwent od razu był na straconej pozycji w oczach konkurencji, a gdy trafił się nieszczęśnik z innej wioski, to już był powód do bijatyki, bez której na ogół nie odbyła się żadna zabawa. Byłoby wręcz nienor-

Zabawy...

malnie, żeby ja-... kiesz dwie drużyny nie starły się ze sobą. Wtedy w ruch szły sztachety z płotu, butelki, krzesła, wszystko, co nawinęło się pod rękę. Dziewczęta piszczały uciekając, niektóre próbowały odciągać swoich chłopaków. Muzykantom ręce mdlały od oberków, które w tym czasie grali bez opamiętania. Taka „wojna”, na ogół jak szybko powstała, tak szybko się kończyła. Chociaż skutki długo jeszcze nieraz pamiętano. A finał bywał czasem tragiczny...

Muzykanci do kolacji nie wysilali się zbyt. Wygrywali kujawiaczki, walczyki, ot, aby czas upływał, zresztą nie było jeszcze dla kogo grać. Kawalerka miała za mało „w czubie” i muzykanci również. Zabawa rozkręcała się dopiero po kolacji zakrapianej czymś mocniejszym. Wtedy muzyka nabierała tempa i leciały już same „szybkie” polki, oberki, rock-endrolle, czasem tango, żeby chwilę odpocząć. Żeby poczuć przy sobie rozgrzaną tańcem dziewczynę, poczuć jej zapach potu, wtulić twarz w jej rozwiane włosy, bo misternie spleciony warkocz już dawno się rozplótł i potargał w tańcu. Wstążka gdzieś się zapodziała albo bezpiecznie była schowana w kieszeni chłopaka.

Muzykanci robili sobie przerwy, żeby wypić coś mocnego, bo ręce im mdlały, pot płynął po ciele, chociaż dawno już pozdejmowali marynarki i w koszulach pozawijali rękawy. Podłogę drewnianą należało skropić wodą, miotłą maczaną w wiadrze. Babcie już pozabierały wnuczęta do domu zaganiając do spania. Same też już nie wra-

cały na zabawę. Czasem dziadek rozochocony jeszcze pozostał. Gospodynie musiały podoić krowy, pozganiać drób, pozamykać chlewy. Też nie wszystkim chciało wracać się na zabawę, zresztą z góry przewidując stan męża, który pozostał chwilowo bez opieki.

Ale młodzież była w swoim żywiole, już nie skrępowana spojrzeniami starych bab, które bacznie świdrowały oczami każdą parę, żeby po zabawie długo jeszcze plotkować. Teraz, w przerwie można było spokojnie z Zosią, Jadwisią czy Elą wyjść na drogę, popatrzeć jak księżyc świeci, przytulić się do niej, umówić, że po zabawie odprowadzi się ją do samego domu...

Ale już przez uchylone okna gruchnęła muzyka, wylała się przez te okna na spokojną w ciszy i mgłę śpiącą wieś. Gdzieś tylko obudzony pies zaszczekał lub zawył.

W tańcu coraz śmielsze przytulania, szybko mijają ostatnie godziny. Orkiestra zapowiada ostatni marsz. Nieśmiało niebo zaczyna szarzeć. Trzeba wracać do domu. Często daleko. Na drugą lub trzecią wieś, mając do dyspozycji tylko rower. Dobrze, że z ramą, posadzi się dziewczynę na niej i w drogę.

A w lesie ptaki budzą się ze snu, słychać trele, gwizdy pachną, zioła, kuszą... Trzeba chwilę odpocząć. Rower oparty o pień drzewa, marynarka rozestana na ziemi. Usiądźmy. Dziewczyna wyciąga się, zmęczona jakby cały dzień wiązała snopy zboża w polu. Ziemia pachnie rosą, wilgocią, wszystko jeszcze tańczy w niej, wiruje, w uszach gra muzyka. Napomnień matki nie pamięta.

Bóg i grzech daleko. A tu tylko oni i las, zmięta sukienka. I aby do następnej niedzieli. Za lasem już wieś, która jeszcze dosypia ostatnie minuty. Już płot, furka. Chodź Janku, napij się chłodnego mleka z bańki, która stoi przy studni w cebrzyku z zimną wodą. Na mleku gruba warstwa śmietany. A co tam! Zaczernię ci samej śmietany. Pij, na zdrowie, boś wart!

A do bańki doleje się wody i tak nikt nie pozna, że ubyło. Koguty już pieją, wieś się budzi ze snu.

Takie były dawne wiejskie zabawy. Bez mechanicznej muzyki, bez samochodów wymyślnych makijaży, strojów, co nie wiadomo czy mają zakrywać ciało, czy prowokować golizną.

A dyskoteki, bo tak je dziś nazywają. No cóż, wszystko się zmienia. Może nasze dzieci też po latach tęsknić będą za nimi?

**Henryka Jurałowicz-Kurzydło,
Słupsk**



Fot. J. Maziejuk

KALENDARIUM

5 lipca podpisana została umowa z Fundacją dla Dzieci Niepełnosprawnych „Nadzieja” w Słupsku na zlecenie jej zadań w zakresie wspierania działań rehabilitacyjnych na rzecz osób niepełnosprawnych.

6 lipca w Żochowie i Łupawie odbył się III Powiatowy Plenar Literacki połączony z prezentacjami artystycznymi.

7 lipca w Rowach odbył się VII Bieg „Szlakiem Zwiniętych Torów”.

12 lipca podpisana została z Centrum Edukacji Regionalnej w Warcinie umowa o przekazaniu tej placówki zadania polegającego na zorganizowaniu i zapewnieniu działalności sezonowych Szkolnych Schronisk Młodzieżowych.

16 lipca wyjechała do MÖLLN w partnerskim powiecie Herzogtum Lauenburg 15-osobowa grupa uczniów szkół podstawowych trzech gmin: Kępic, Główczyca i Dębnicy Kaszubskiej. Dzieci zostały zaproszone przez starostę powiatu Horzogtum do udziału w projekcie „Zabawa w miasto”.

18 lipca promowano wydany staraniem starostwa album zdjęciowy pt. „Obiekty sakralne na ziemi słupskiej”.

20 lipca w Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej w Ustce odbyła się uroczysta przysięga wojskowa.

21 lipca odbył się V Rajd Rowowy Osób Niepełnosprawnych im. Stanisława Kądział.

22-27 lipca w Ustce odbył się XIX Światowy Polonijny Sejmik Olimpijski.

28 lipca w Brusach odbył się XIX Zjazd Kaszubów.

Muzyką z

Kiedy innym dzieciom wydawało się wszystko proste i oczywiste, Józiovi nawet rzeka, w której łowił ryby grała dźwiękami, las szumiał inaczej, zwykłe odgłosy codzienne miały swoje tony wyższe i niższe. Nie wiedział wtedy jeszcze nic o nutach, gammach, akordach, które miały przyjść dopiero wiele lat później

Mając zaledwie dziesięć lat dostał od swego wujka trąbkę. Nic nie wskazywało, że z tym instrumentem zwiąże się na całe życie. A zaczęło się wszystko na dalekich Kresach, w Stanisławowie.

Nie wiedział wtedy jeszcze nic o nutach, gammach, akordach. To wszystko miało przyjść wiele lat później. Póki co, żył losem dziecka, które doświadczyło okrutnego czasu wojny. Z okien swojego domu widział ginących

Zaczął się nowy etap w życiu młodego człowieka. Na nowo przyszło się uczyć wszystkiego, zapisany został do szkoły. Mimo nauki czytania, pisania, tabliczki mnożenia, muzyka ciągle dominowała.



Z licznej rodziny Kurzydłów (miał dziewięcioro rodzeństwa), on jeden przejawiał zamiłowanie do muzyki. Biegał z rówieśnikami za każdą orkiestrą, gdzie tylko się pojawiła. Kiedy innym dzieciom wydawało się wszystko proste i oczywiste, Józiovi nawet rzeka, w której łowił ryby grała dźwiękami, las szumiał inaczej, zwykłe odgłosy codzienne miały swoje tony wyższe i niższe.

żołnierzy. Doświadczał głodu, zimna, niedostatku. Pomimo pracowitych i zaradnych rodziców. Potem przeżył ciężki czas ewakuacji na tzw. Ziemię Odzyskaną. Wtedy na pamiątkę dostał od brata swej matki trąbkę. Przejechała ta trąbka z Józkiem kawał drogi, z rodzinnego Stanisławowa do Słupska. Opuszczony przez Niemców zasiedlali teraz nowi mieszkańcy z różnych stron.

Ciągle w uszach grała. W wieku piętnastu lat zagrał na weselu! Na zdobytym po Niemcach 12-basowym akordeonie. Potrafił zagrać tylko cztery utwory.

Po podstawówce pracował w różnych zawodach. Ciągle, jako samouk, próbował grać. Trąbka okazała się trudnym instrumentem. Bywało, że rzucał ją w kąt. Jednak po jakimś czasie znowu brał ją w ręce

Łączeni

i zawzięcie ćwiczył. Jako elew, w orkiestrze dętej Marynarki Wojennej w Ustce, spotkał się z fachową pomocą kapelmistrza. Trzy lata grał na instrumentach dętych. Nawet przedłużył sobie pobyt w wojsku. Po wyjściu do cywila kontynuował dalszą edukację w Szkole Muzycznej w Słupsku. Potem jeszcze w Koszalinie, gdzie dostał propozycję pracy w Orkiestrze Symfonicznej. Grał w niej na rogu. Jako młody człowiek założył z kolegami zespoły muzyczne i grał z nimi po zabawach i weselach. W tym czasie sięgnął po saksofon. Wtedy usłyszał o nim ówczesny kapelmistrz Kolejowej Orkiestry Dętej w Słupsku, niejaki pan Mazur i namówił, aby wstąpił do orkiestry. Podjął pracę w kolejnictwie jako rewident. W 1979 roku przejął pałeczkę po kapelmistrzu. Orkiestrę prowadził przez dwanaście lat - aż do rozwiązania w roku 1990 roku.

- Żał było się rozstać z kolegami, porzucić instrumenty. Ale tak zdecydowały władze - powie. - Powodem były względy oszczędnościowe, bo orkiestra przecież nie przynosiła zysków finansowych.

Mało który węzeł kolejowy na Pomorzu mógł się poszczycić wtedy swoją orkiestrą. Pozostały po niej jednak tylko stopy nut i zdobyte nagrody na różnych konkursach i przeglądach. W życiu osobistym Józefa też nadeszły duże zmiany. W roku 1991 przeszedł na emeryturę. Umiera mu żona. Zostaje sam z jedenastoletnią córką. Z grania nie rezygnuje. Dalej dorabia sobie na różnych imprezach. Zatrudnił się też w Zakładzie Pogrzebowym jako trębacz, ale nie dla niego były takie grania. Wolał grać tam, gdzie ludzie się cieszą, śmieją, tańczą, a nie smucą i płaczą. Porzucił ten dobrze płatny interes i wstąpił do Zespołu Ludo-

wego „Słowińcy”. Tutaj odnajduje nową pasję - ludowe granie. Zespół „Słowińcy” z Objazdy był jednym z pierwszych zespołów ludowych na ziemi słupskiej. Miał dużo zamówień. Często grywał przy Skansenie w Klukach. Tutaj na dźwięk trąbki, a potem na trębaczka zwróciła uwagę pewna pani, która też ukochała w swoim życiu muzykę i śpiew. Zainteresowanie przerodziło się w przyjaźń, a zakończyło w Urzędzie Stanu Cywilnego. Odtąd występują razem w kapeli ludowej, którą nazwali „Zgoda”.

Jest 28 lipca, sobota, godzina 7 rano. Ubierają stroje kaszubskie, zabierają instrumenty, zamykają drzwi mieszkania i jadą ze Stowarzyszeniem Kaszubskim do Brus, na dziewiąty Zjazd Kaszubów. Po dwóch godzinach jazdy autokarem są już na miejscu. Poszczególne delegacje formują się w pochodzie. Ich kapela prowadzi oczywiście Słupsk. Grają melodie kaszubskie. Idąc w stronę kościoła wzbudzają szczery aplauz widzów. Prezentują się ciekawie. Dołączają do nich muzycy z innych zespołów. Mszę św. celebrował Arcybiskup Tadeusz Gołowski, mówi wiele o przywiązaniu Kaszubów do ojczystej ziemi. Po mszy złożenie wieńców pod pomnikiem Jana Karnowskiego. Stąd zespoły udają się w kierunku stadionu. Tam dalej bawią publiczność. I tak jest już od wielu lat.

I taką to koleją losu, chłopak ze Stanisławowa rozstawił dzisiaj ziemię słupską, na której przyszło mu żyć, pracować i, mimo starszego już wieku, czuje się nadal młodo. Nie ma dość grania i występów.

**Henryka Jurałowicz Kurzydło
Słupsk**



Fot. J. Maziejuk

KALENDARIUM

1-17 sierpnia rozegrane zostały Ogólnopolskie Zawody RINGO.

3-4 sierpnia w Parku Kultury i Wypoczynku w Słupsku odbyło się XI Święto Ryby.

10 sierpnia odbył się Międzynarodowy III Ustecki Festiwal - w rzucie kamieniem nadmorskim kobiet.

10-19 sierpnia w Słupsku odbyła się XVII edycja Międzynarodowego Festiwalu Brydża Sportowego „Solidarność”.

16 sierpnia starosta słupski Sławomir Ziemianowicz prowadził w Warszawie rozmowy z ministrem obrony narodowej - Aleksandrem Szczygło nt. ewentualnego usytuowania w Redzikowie k/Słupska amerykańskiej tarczy antyrakietowej.

18 sierpnia w Lubuczewie rozegrano konkurencje biegowe w ramach XIV Pomorskiego Rajdu Abstynenckiego. W Ustce odbyły się VII Mistrzostwach Polski w Wyplukiwaniu Bursztynu.

20-30 sierpnia w miejscowości Poraj (gm. Wicko) odbył się Międzynarodowy Plener Artystów Nieprofesjonalnych „Śladami Maxa Pechsteina” - z udziałem malarzy z Cieszyna i powiatu Herzogtum Lauenburg.

22 sierpnia odbyły się dwa posiedzenia Komisji Egzaminacyjnej do przeprowadzenia postępowania dla ubiegających się nauczycieli o stopień nauczyciela mianowanego. Odbyła się też narada dyrektorów jednostek oświatowych nt. organizacji roku szkolnego 2007/2008.

Aktywni zawodowo i społecznie

Minione tysiąclecie, koniec XX wieku oraz zmiany ustrojowe państwa, administracyjne władz terenowych i organizacyjne służby weterynaryjnej, spowodowały mnie do próby utrwalenia dziejów służby weterynaryjnej powiatu słupskiego.

Z zapisów pierwszych polskich lekarzy weterynarii po II wojnie światowej wyłania się obraz ich heroicznej pracy. Powiat słupski po 1945 roku należał, według podziału administracyjnego, do województwa szczecińskiego, gdańskiego, następnie koszalińskiego, później słupskiego, a obecnie należy do pomorskiego. W Słupsku, z chwilą powołania województwa koszalińskiego, mieściła się także siedziba Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii i Zakładu Higieny Weterynaryjnej (do 1966 r.).

Tereny powiatu słupskiego bezpośrednio po wyzwoleniu były ogromnie zniszczone, część ludności niemieckiej uciekła, część została wysiedlona. Manewr wojenny Armii Czerwonej spowodował, że znalazły się tu bardzo duże ilości zwierząt gospodarskich ewakuowanych przez Wehrmacht z terenów wschodniej części Pomorza, a nawet z Prus Wschodnich. Liczba półżywych, zmaltretowanych zwierząt była szacowana na około 30 tysięcy sztuk bydła i koni. Oceniając dziś z perspektywy minionych lat wysiłek i dokonania tych początkowo kilku, a później kilkudziesięciu osób, które niemal bez środków technicznych, bez zapłaty i bez fanfar potrafiły

zastaną sytuację opanować, zorganizować lecznictwo, rzeźnię i urzędowe badania zwierząt oraz mięsa, współdziałać w przerzutach nadwyżek zwierząt do centralnej Polski - należy przed nimi i ich dokonaniem bardzo nisko pochylić głowę. Często musieli oni działać tak, aby choć część zastanego dobytku trafiła w ręce polskie przed Armią Czerwoną. Wielu pracowało jeszcze w mundurach żołnierskich. Kadre stanowili lekarze weterynarii oraz przyuczeni w wojsku sanitariusze, a w okresie późniejszym technicy - z Człuchowa, Wrześni i Nowego Targu. Wie-

lu z nich całe życie związało z powiatem słupskim. Praca służby weterynaryjnej była ciężka i niebezpieczna. Zarazy wśród ludzi i zwierząt szerzyły się szczególnie gwałtownie w pierwszych powojennych latach. U koni występowała wówczas śmiertelna dla ludzi i zwierząt nosaczina, z którą w zduńmiewajaco szybkim czasie udało się uporać. Należy pamiętać, iż koń wówczas stanowił jedyną siłę pociagową, szczególnie w rolnictwie. Spustoszenie powodowały także bardzo liczne przypadki niedokrwiłości zakaźnej koni, zaraza stadnicza, świerzb i influenza. U bydła głównym problemem była gruźlica, brucelozą oraz zagrożenie pryszczycą.

Od zagrody do zagrody

W 1955 roku przystąpiono do systematycznych badań tuberkulinowych. Około 85 proc. krów mlecznych wykazywało dodatni odczyn tuberkulinowy. Ciężka praca, wykonanie setek tysięcy badań przez lekarzy weterynarii, wędrujących od zagrody do zagrody, oraz przymusowy wykup chorych sztuk dały pozytywny efekt. W 1972 roku całe województwo koszalińskie zostało urzędowo i zgodnie z międzynarodowymi normami uznane za wolne od gruźlicy bydła. Podobnie było ze zwalczaniem brucelozą bydła; w 1978 roku teren powiatu słupskiego uznano za wolny od tej choroby. Często jednak występowały takie choroby, jak: pomór świń, choroba motylicza, robaczyce płuc bydła i owiec, gzwawica, pomór rzekomy i cholera drobiu, wścieklizna i włośnica. Obecnie trwa jeszcze akcja zwalczania enzootycznej biączki bydła. W 1994 roku rozpoczęto dostne szczepienie zwierząt wolno żyjących przeciwko wściekliznie. Ogromny wysiłek włożono także w organizację nadzoru nad ubojem zwierząt rzeźnych i badaniem mięsa. Zwyczajem przedwojennym organizatorem i dyrektorem rzeźni był lekarz weterynarii. W Słupsku był nim Eugeniusz Szaniawski (Sznajder). Przeszkolono wówczas liczną grupę oglądaczy mięsa i trychnoskopistek.

Zmiany, zmiany

Do 1990 roku usługi weterynaryjne były wykonywane przez państwowych pracowników weterynarii. W 1990 roku nastąpiła prywatyzacja tych usług, a czynności



Fot. J. Maziejuk

urzędowe są zlecane lekarzom prywatnie praktykującym. Do 1975 roku Powiatowy Zakład Weterynarii podlegał Wydziałowi Rolnictwa i Leśnictwa Powiatowej Rady Narodowej, a powiatowy lekarz weterynarii był zastępcą kierownika tego wydziału. W okresie do 1990 roku na terenie powiatu słuńskiego była jedna lecznica powiatowa (w latach 1975-1990 - wojewódzka) w Słupsku, pięć przychodni (lecznic) dla zwierząt (nazewnictwo ulegało zmianie) w Darnicy, Dębicy Kaszubskiej, Główniczach, Kwakowie, Potęgowie i Ustce oraz punkty weterynaryjne w Gardnie Wielkiej, Wrzącej i Swołowie. Obiekty służby weterynaryjnej stanowiły różne adaptowane budynki poniemieckie, jedynie w latach sześćdziesiątych wybudowano dwie nowe typowe lecznice z mieszkaniami dla pracowników w Ustce i Dębicy Kaszubskiej oraz w latach osiemdziesiątych Lecznicę dla Małych Zwierząt w Słupsku. Po 1990 roku obiekty te zostały skomunalizowane i sprzedane (poza słuńskimi). Niektóre wielkotowarowe państwowe gospodarstwa (PGR, POHZ, SHR) zatrudniały pracowników służby weterynaryjnej na etatach zakładowych. W latach 1975-1990 w Sławnie mieściła się siedziba Oddziału Rejonowego Wojewódzkiego Zakładu Weterynarii dla powiatu słuńskiego, którą w 1990 roku przeniesiono do Słupska.

Do 1999 roku słuńska weterynaria miała ekipę dezynfekcyjną. W latach siedemdziesiątych nastąpił bardzo duży wzrost pogłowia zwierząt, gdyż powstały liczne fermy, co zrodziło zapotrzebowanie na pracę młodych lekarzy weterynarii. Od tego czasu liczba lekarzy wzrastała od 26 osób w 1973 roku do 47 - w 2000 roku.

Trzecia istotna zmiana w gospodarce powiatu słuńskiego nastąpiła po 1990 roku, kiedy dokonano prywatyzacji gospodarstw państwowych. Efektem tego jest likwidacja ogromnych stad bydła, ferm trzody chlewnej, owczarni, tuczarni, zakładów mięsnych w Słupsku, ubojni i masarni gminnych spółdzielni. Wielu lekarzy weterynarii zmuszonych było szukać sobie pracy.

Pionierzy

W minionym 55-leciu słuńska weterynaria była inicjatorem kilku pionierskich wydarzeń. Godny odnotowania jest fakt zorganizowania w 1971 roku, jako jednego z pierwszych w Polsce, powiatowego pogotowia weterynaryjnego. Inicjatywa ta podjęta przez powiatowego lekarza weterynarii Tadeusza Marciniaka oraz lekarzy weterynarii Eugeniusza Łuszyńskiego i Józefa Reicherta była wzorem dla innych powiatów (regulamin, finanse, organizacja dyżurów).

18 października 1986 roku zorganizowano w Słupsku pierwsze ogólnopolskie uroczystości obchodów Dnia Pracownika

Służby Weterynaryjnej. Aktywnie działał Słuński Oddział Zrzeszenia Lekarzy i Techników Weterynarii, organizując wiele szkoleń. Zainicjował on m.in. wsparcie budowy domu rodzinnego dla jedenaściorga sierot po lekarzu weterynarii z Lipnicy. Współorganizował imprezy rekreacyjno-turystyczne, konkursy współzawodnictwa fachowego między lecznicami itp. Prezesami Oddziału Zrzeszenia byli Tadeusz Marciniak i Józef Reichert. W latach 1985-2000 w Słupsku działał Oddział Środkowopomorski Polskiego Towarzystwa Nauk Weterynaryjnych, któremu przewodniczył Stanisław Jank. Pięciu lekarzy uzyskało stopnie naukowe doktora: Tadeusz Marciniak, Jan Kowalczyk, Stanisław Jank, Jerzy Radziejewski oraz Józef Reichert.

Do polityki

W minionym okresie podnosił się autorytet społeczny lekarzy weterynarii w powiecie. Wielu lekarzy pełniło różne funkcje społeczne i polityczne. Radnymi gmin byli: Zenobiusz Pleszkiewicz, Jerzy Remiszewski, Paweł Gonera, Ryszard Moskal, Stanisław Jank, Andrzej Kozak, Alfred Szewiński; radnymi Rady Miasta Słupska: Elżbieta Żochowska, Piotr Kroban, Jerzy Cegliński, Anna Sidorowicz; radnymi Rady Powiatu: Tadeusz Marciniak, Jerzy Remiszewski, Paweł Gonera, Stanisław Jank; radnymi Wojewódzkiej Rady Narodowej: Jerzy Radziejewski, Franciszek Rubaj.

Do aktywnie działających organizacji weterynaryjnych należy zaliczyć słuńskie oddziały różnych związków zawodowych, w których działali lekarze weterynarii: Eugeniusz Witkowski, Eugeniusz Łuszyński w CRZZ; Jerzy Radziejewski w OPZZ; Jerzy Cegliński, Franciszek Rubaj w NSZZ „Solidarność”. Z chwilą powstania samorządu lekarze weterynarii z powiatu słuńskiego włączyli się w działanie Kaszubsko-Pomorskiej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej. Lekarz weterynarii Zenobiusz Pleszkiewicz pełnił funkcję wiceprezesa Izby, a Jan Kowalczyk był przewodniczącym Komisji Rewizyjnej. Doktor Jerzy Radziejewski przez dwie kadencje był Krajowym Rzecznikiem Odpowiedzialności Zawodowej.

Długa lista

Skrupulatne zapisy prowadzone przez technika weterynarii Franciszka Rubaję pozwoliły ustalić imiona i nazwiska wszystkich pracowników weterynarii w powiecie. Lista jest bardzo długa, zawiera ponad siedemdziesiąt nazwisk lekarzy i trzydziestu sześciu techników, dlatego z kronikarskiego obowiązku postanowiłem wymienić tylko lekarzy sprawujących funkcje kierownicze. Pierwszym wojewódzkim lekarzem weterynarii był Mieczysław Nocoń, następnie Józef Mazur, Eustachy Dąbrowski (1975-1990), a potem Jerzy Radziejewski

(1990-1999). Pierwszym powiatowym lekarzem weterynarii był Wojciech Jankowski, następnie Henryk Kuliga, Feliks Kirchner, Tadeusz Marciniak (w latach 1975-1999 byli lekarzami rejonowymi), Henryk Pilecki, Jerzy Radziejewski i Wojciech Szczypkow. Powiatową Lecznicą dla Zwierząt w Słupsku kierowali kolejno: Jan Kilian, Paweł Anzelm Dębski, Aleksander Kościeszka-Ożegalski, Władysław Konopka, Eugeniusz Łuszyński oraz Józef Reichert.

Lecznicami kolejno kierowali: w Darnicy - Marian Karmelita i Mikołaj Parchoniuk; w Dębicy Kaszubskiej - Julian Juszkiewicz, Eugeniusz Bednarz, Antoni Małysz, Henryk Osiński, Wojciech Sawski i Stanisław Jank; w Gardnie Wielkiej - Andrzej Baczyński i Leszek Olszewski; w Główniczach - Władysław Hauptman, Jerzy Cegliński, Zbigniew Kasperek, Jan Kowalczyk, Michał Kensik i Irena Pośpieszna; w Kwakowie - Tadeusz Górka, Kazimierz Konkołowicz, Ludwik Curzydło, Zbigniew Pożoga, Wojciech Szczypkow, Bogdan Małecki i Janusz Sikorski; w Potęgowie - Jan Dobrucki, Sławomir Gościcki, Eugeniusz Witkowski, Marek Kozuba i Zenon Pleszkiewicz; w Swołowie - Antoni Małysz i Michał Wiwat; w Ustce - Stanisław Szabuniewicz, Leszek Hubar, Andrzej Szymański i Krzysztof Stelmaszyk; we Wrzącej - Władysław Konopka, Andrzej Szymański i Bronisław Babski; w Budowie - Eugeniusz Kłosowski.

Weterynaryjnym Inspektoratem Sanitarnym w Zakładach Mięsnych kierowali kolejno: E. Szaniawski, A. Brykalski, Fr. Chochół, P. Kroban, a w Powiatowym i WZWet.: Iwona Wylęzek, Jan Kowalczyk i Anna Sidorowicz. Laboratorium w Zakładach Mięsnych kierowali: Stanisław Meuszyński, Jan Serafin, Antoni Brykalski, Bożena Pleszkiewicz. Laboratorium Zakładu Weterynarii od 1972 do 2004 roku kierowała Elżbieta Żochowska.

W Słupsku zorganizowano hurtownię leków weterynaryjnych „Centrowet”, którą kierowali: Krystyna La Feri, Paweł Wiktorowski, Żyta Kujawska, Marian Karmelita, Jacek Machoń i Piotr Rybak.

W Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej pracowali: Leopold Rogalski, Bernard Pałak, Edward Czarnota, Mirosław Głowacki i Stanisław Jank. W wojskowej służbie weterynaryjnej służyli: ppłk Kazimierz Matias, kom. por. Zygmunt Dębowski i mjr Roman Domagała.

Miejskim Schroniskiem dla Zwierząt kierował Piotr Kroban. Tomasz Zdoliński prowadził hurtownię weterynaryjną „Trans-Wet”. W latach 1992-1999 funkcję granicznego lekarza weterynarii w Ustce pełniła Ewa Stelmaszyk.

W ciągu sześćdziesięciu dwóch lat na ziemi słuńskiej na zawsze spoczęło już 28 pionierów służby weterynaryjnej

**Dr med. wet. Stanisław Jank
Radny Powiatu Słuńskiego
Dębica Kaszubska**

Mini traktat o przyjaźni

Czy świadków zmęczonego i przerażonego (a może nie?) autoreprodukcją społeczeństwa masowego, żyjącego zaspokajaniem potrzeb kreowanych przez rynek, w pustce otaczającej coraz bardziej wyszukaną konsumpcją i mitologią materialnego sukcesu, stare życiowe prawdy satysfakcjonują? Czy sentencje, zwroty i powiedzenia są wyrazem tęsknoty za innym życiem, za wartościami, które ulotniły się ze społeczeństwa, czy odkrywanie starych myśli ma dziś jakikolwiek sens?

„Przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi” - to powiedzenie, które towarzyszyło mi przez całe, zwłaszcza dorosłe życie. Powiem nawet, że wręcz oczekiwałem, iż prędzej czy później ono się ziści, zwłaszcza, kiedy moje kontakty z ludźmi były liczne, partnerowanie intensywne a sympatie pogłębiające się z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, a nawet szły w lata. I co? Po latach mogę tylko stwierdzić, że nic bardziej mylnego. Nie miałem doświadczyć bytu takiej sztafety przyjaźni jak w powyższym stwierdzeniu, co do wieloletniego koleżeństwa tak, ale co do przyjaźni, nie.

Miałem odbiegający od reguły przypadek pary, która nie kryjąc tego, chwalać się znajomością na prawo i lewo, zazdrośnie strzegła własnego prawa do wyłączności kontaktu i bycia razem. Trzeba przyznać, robiła to dosyć skutecznie obdarowując mój dom głęboką sympatią i przyjaźnią, zresztą z wzajemnością. Jak się okazało do czasu.

Po wielokroć zastanawiałem się czy moje niespełniające się oczekiwania na prawdziwą przyjaźń nie wynikają z własnej winy, nieudolności i nieumiejętności bycia razem, tak by podgrzewać znajomość i jej rozrastanie się.

Tak też na stare lata skwitowałem pogodzenie z losem i rozterki w materii braku towarzyskiej ciągłości stwierdzeniem wygodnym: tak musi być, bo albo moi partnerzy nie dorastają mi do pięt więcej otrzymując niż oczekują, albo odwrotnie, to ja nie spełniam oczekiwań partnerów sposobem bycia i reakcjami, tłamsząc i tłumiąc ten ogieniek, który się roznieca, rozpala, ale wytłumia się i wygasa.

Trwałbym nadal przy takim mniemaniu, przyznać należy, wygodnym, pewnie z niewyjawianą skłonnością do własnych racji, gdyby nie przypadek.

No, świadomy to był ruch, powiem więcej: na kilka zbiorów różnych sentencji, zwrotów, powiedzeń i przysłów rzuciłem się jak wilk na owcę. Do indeksu tematycznego dotyczącego przyjaciół i przyjaźni wręcz się przysałem, rejestrując ni mniej ni więcej jak 345 przypadków odnoszących się do tej istotnej dla stosunków międzyludzkich sfery, 136 przypadków było szczególnie ciekawych i ważnych, tym bardziej, że dały się łatwo ująć w czytelne kategorie, na tle pozostałych, mają swoją rangę szczególną. Może przeceniłem wagę zderzenia się ze specyficzną tematyką w literaturze, ale nie sądzę. Czytając wypisy z Cycera, Seneki, Owidiusza, Solona, Horacego, Pla-

tona, Eurypidesa, Tacyta, to z tych znanych nazwisk filozofów i myślicieli, czy też nieosłuchanych: Plaut, Publiusz Syrus, Nepos, Kwintylian, Liwiusz Petroniusz, Salustiusz, Fedrus i inni, poczułem się jak na nowoczesnej, oświetlonej i opisanej drodze, pełnej po obu stronach drogowoskazy i znaków, w stylizyście ruchu drogowego odpowiadających ostrzeżeniom i wskazaniom, informacjom i oczekiwań, zakazom i wytycznym.

To tak jakbym uczył się treści warunkujących przyjaźń i trwanie w gronie przyjaciół, a na szczycie tarasu segregował tajniki wiedzy dla ich podtrzymania i utrzymania osobistego, rodzinnego, służbowego, dokonywał selekcji dla domu, biznesu i tzw. kariery.

Prawidłą o tak historycznym fundamencie, że szkoda gadać, a zaraz się do niektórych odwołam, są jak klocki Lego do budowy piramidalnej przyjaźni trwałej jak te w piramidach słońca i księżyca w Ameryce Południowej, czy Cheopsa w Gizie.

Klocki Lego pasują do siebie jak ulał tak jak sentencje i powiedzenia, których sensu nie zmieniam co do słowa ani litery. Dla ich przypadków, dla ich wzajemnego połączenia należy wykazać nieco sprytu. Łączę więc zdania w zdanie, pomny, że „lepiej stracić słowo niż przyjaciela”. Okazuje się, że *życie bez kultury i bez przyjaciół nie może być przyjemne, przyjaciela zawsze trzeba każdemu jak wody i chleba, nie ma życia bez przyjaźni. Solą życia jest przyjaźń.*

Skoro samotność i życie bez przyjaciół jest pełne zasadzek i strachu, sam rozsądek doradza nawiązywać przyjaźnie. Nie wiesz jak cenna jest przyjaźń, jeśli nie pojmujesz, że wiele ofiarujesz człowiekowi, któremu dasz przyjaciela; sobie wyświadczasz dobrodziejstwo, kto je wyświadcza przyjacielowi.

Wiele beczek soli trzeba zjeść razem, aby wypełnić obowiązek przyjaźni, prawdziwe przyjaźnie są wieczne. O przyjaźni wszyscy, co do jednego, myślą to samo. Większość ludzi chciałaby mieć takich przyjaciół, jakimi sami być nie mogą.

Najsilniejsza jest przyjaźń między równymi – między panem i niewolnikiem nie ma przyjaźni. Może istnieć między ludźmi prawymi... tylko między dobrymi. O przyjaźni można mówić w odniesieniu do ludzi dojrzałych i mocnych wiekiem i duchem. Tam gdzie układy jasne, dobrzy przyjaciele.

Z wielu przyjaciół człowieka nieliczni są ci, którzy są pewni. Prawdziwy przyjaciel rzadszy niż feniks,... ukazuje się w biedzie, najlepszy, to najstarszy przyjaciel.

Ważni i przyjaciotach...

Ludzi pełno, przyjaciół brak. Mieć ich wszystkich za przyjaciół to sprawa trudna, wystarczy nie mieć ich za nieprzyjaciół. Jeśli chcesz z każdym żyć w szczerym przyjacielstwie, wnet Cię zdrada spotka, wzgardzą Cię w ubóstwie. Przyjaciół zbyt szybko nie pozyskuj, a tych których poznałeś nie odrzaczaj. Po nawiązaniu przyjaźni należy zaufać, przed jej nawiązaniem trzeba się zastanowić. Kto wszystkim nie ufa, ten nigdy nie pozyska sobie przyjaciół.

Strzeż się, byś nie uważał kogoś za przyjaciela, jeśli wcześniej nie poddasz go próbie: z czynów, nie ze słów należy oceniać przyjaciół. Jak matrona różni się i jest odmienna od ladacznic, tak odmienny jest przyjaciel od błazna. Należy baczyć, z kim jesz i pijesz – przyjaźń zawarta przy kielichu jest zwykle jak szkło kruche.

Więcej przyjaciół przyciąga stół niż mądrość. Przyjaciel głupich stanie się do nich podobny (kto z kim przystaje...)

W tym miejscu przerywam wydłużającą się niepostrzeżenie sekwencję bogatego zbioru sentencji, zwrotów i powiedzeń. W zapisach, mędrcy dostarczają prawd po części znanych i satysfakcjonujących, ustawiając rzecz do normy, uczulają na zyskiwanie kontroli nad sytuacją.

Skupmy się jednak na słowie „cnota” i zwrotach z tym słowem: *cnota rodzi i zawiera przyjaźń, a bez cnoty też nie może żadnym sposobem istnieć przyjaźń. Cnota stwarza przyjaźnie i je zachowuje. Twoją cnotą czyniła mnie twoim przyjacielem.*

Aż kusi, żeby te powiedzenia odczytywać na tle tezy św. Tomasza z Akwinu, zgodnie z którą, cnota definiowana jako właściwy sposób spełnienia czynu może znakomicie posłużyć złym celom.

I tak, można być doskonałym złodziejem i kanciarzem, spryciarzem, łapówkarzem, kombinatorem, lawirantem, etc. i... robić coś złego w „cnotliwy” sposób. „Niższa” doskonałość może niepostrzeżenie, niedostrzegalnie, mimo, wpłynąć na „wyższy” cel. Pełny kamuflaż, robienie dobrego wrażenia, „cnotliwa” doskonałość służy złym celom, tj. zatarciu śladów kradzieży, stwarzaniu pozorów i udawaniu, zwodzeniu, niesolidności, niepunktualności, nie dbalstwu i in. W efekcie prowadzi do wniosku, że ktoś, kto działa w tak „doskonały” sposób musi być w ogóle, „z gruntu” dobrą i sygnatyczną osobą, ba, atrakcyjnym partnerem i kandydatem na przyjaciela. Mówiąc krótko, ktoś, kto tylko wydaje się być solidny, rzetelny, odpowiedzialny i... nie może być naprawdę zły mimo pomniej-

szych osobliwości i wad, bo kto ich nie ma. Zobaczmy więc jak nas dalej uczulają na cnoty ludzkie historyczni już myśliciele i filozofowie. Wbrew pozorom sprawa nie jest taka błaha. Jeśli dotyczy prywatnego poszukiwacza przyjaciół ryzyko nieudanej przyjaźni ponosi on, jej oczekujący. Jednakże, przy społecznym podejściu do problemu, konsekwencją określonej postawy przypominamy sobie o istnieniu norm moralnych, ważnych dla zachowania co najmniej przyzwoitych więzi międzyludzkich.

I tak, tłum ceni według korzyści: gdzie bogactwo tam przyjaciele – gdzie przyjaciele tam bogactwo, majątek znajduje przyjaciół.

Nie ma żadnego przyjaciela ten, kto niczego nie posiada, dla żebraka nawet rodzice nie są przyjaciółmi. Licz pieniądze a wnet będziesz liczył przyjaciół, pieniądź kupuje wsie, pieniądź zatrzymuje przyjaciół. Gdy szczęście trwa nie zmieniać twarzy przyjaciele, gdy się skończyło, w haniebnej ucieczce odwracacie oblicza. Dopóki będziesz szczęśliwy, wielu będziesz miał przyjaciół, gdy czasy będą chmurne sam będziesz. Przyjaciół pomysłność najlepiej pozyskuje, niepomysłność zaś z pewnością wypróbowuje, lepiej obywać się bez pieniędzy niż bez przyjaciela.

Cała siła przyjaźni polega na najpełniejszej zgodzie, woli, dążeń i poglądów... współuczestnictwie w zamysłach. Stare prawo przyjaźni stanowi, że przyjaciele zawsze chcą tego samego.

Natura, najlepsza przewodniczka sprawi, że sprzyjamy tym, którzy narażają się na takie same niebezpieczeństwa, jakich my zaznaliśmy. Chcieć tego samego i nie chcieć tego samego, to dopiero mocna przyjaźń. To co wydaje się pożyteczne, zaszczyty, bogactwa, przyjemności i inne tego rodzaju rzeczy nigdy nie powinny być przenoszone na przyjaźń – jasne układy stwarzają dobrych przyjaciół.

Odziera przyjaźń z jej dostojności, kto szuka jej dla korzyści. Czyż dobrodziejstwa nie rodzą przyjaźni? Rodzą, jeśli można wybierać tych, którzy będą ich odbiorcami, życie bowiem ludzkie opiera się na dobrodziejstwach i zgodzie. Przyjmować dobrodziejstwa to sprzedawać wolność. Ten, kto usuwa przyzwoitość z przyjaźni, usuwa jej najpiękniejszą ozdobę. Nie ma przeto żadnej wymówki dla grzechu, jeśli bys zgrzeszył z powodu przyjaciela, dlatego żadna to przyjaźń, gdy jeden, nie chce słuchać prawdy, a drugi gotów jest kłamać.

Gdyby trzeba było robić wszystko, czego życzą sobie przyjaciele, trzeba by uważać takie przyjaźnie za spiski.

To należy stwierdzić, że w przyjaźni nie ma gorszej zarazy jak pochlebstwo, przymilanie się, potakiwanie. W pochlebstwie tkwi wstrętny występek służalczości, w złośliwości fałszywy pozór wolności. Przyjaciół zachowuje się uległością, ukazywaniem względów – uległość stwarza przyjaciół a prawda rodzi nienawiść.

Jaka może być przyjaźń między niewdzięcznymi – nie z przyjaźni a z bojaźni. Lepszą przysługę wyświadczają niektórym surowi nieprzyjaciele niż ci, którzy wydają się słodcy.

Lepsze są rany zadane przez przyjaciela, aniżeli podstępne pocałunki wroga. Upominaj przyjaciela na osobności, chwal jawnie. Przyjaciel pokazuje skazę na kształt czystego zwierciadła. Wrogowie często mówią prawdę, przyjaciele nigdy.

Prawdziwą przyjaźń najtrudniej znaleźć wśród tych, którzy piastują godności w Rzeczypospolitej. Gdzie bowiem znajdziesz tego, który by godność przyjaciela postawił wyżej od własnej?

Po cóż zabiegam o przyjaciela? Aby mieć za kogo umrzeć, aby mieć za kim pójść na wygnanie, aby mieć kogo z poświęceniem bronić od śmierci. Nie tylko dla siebie urodziłem się, lecz części naszego istnienia domaga się dla siebie Ojczyzna, części przyjaciele. Akurat te dwa ostatnie powiedzenia, które wypowiedzieli Seneka i Cyncero, zwłaszcza te dwa, wydają się mocno zwietrzałe, anachroniczne, „trącą muszką”, są w treści nieadekwatne do naszego czasu. Choć w wymowie kipi w nich patriotyzm i miłość bliźniego, daleko im do tych wartości, które dziś kryzys wartości głęboko przemielili.

Czy świadków zmęczonego i przeżalonego (a może nie?) autoreprodukcją społeczeństwa masowego, żyjącego zaspokajaniem potrzeb kreowanych przez rynek, w pustce otaczającej coraz bardziej wyszukaną konsumpcją i mitologią materialnego sukcesu, stare życiowe prawdy satysfakcjonują? Czy sentencje, zwroty i powiedzenia są wyrazem tęsknoty za innym życiem, za wartościami, które ulotniły się ze społeczeństwa czy odkrywanie starych myśli ma dziś jakikolwiek sens? Ma, bezwzględnie ma.

Wiem chociażby to, że przyjaciel odległy – niepożyteczny, a pędzącym życie na wędrownie przypada w udziale to, że łączą ich wiele związków gościnności, przyjaźni zaś żaden. Wiem też, że przyjaciele to złodzieje czasu. Publiusz Syrus powiedział zaś: strzeż mnie przed przyjacielem, przed nieprzyjacielem sam się obronię. I tak trzymać.

Na temat przyjaźni i przyjaciół sporo można się również dowiedzieć, śledząc przysłowia polskie. Ich wymowa nie jest gorsza od wyżej przedstawionych sentencji i powiedzeń mędrców minionych wieków, są przecież mądrością życiową i obywatelską rodaków. Są może mniej subtelne a bardziej dosadne, ale ciekawe. Z ponad 200 przysłów powołuje się na kilkanaście dobrych i złych przykładów, jednoznaczności i wskazań.

Ucho nie oko, ma odbierać przyjaciela, umieć być przyjacielem, znajdziesz przyjaciela. Głupi przyjaciel, kiepski sąsiad, baba złośliwa – trzy choroby. Jeśli chcesz mieć przyjaciela dobrego, nie chodź często do niego. Chcesz mieć długo skarbów wiele, rozdaj między przyjaciela. Chcesz się pozbyć przyjaciela, sprzedaj mu konia, pieniędzy mu pożycz. Kiedy by nie potrzeba drogi torowała,



ścieżki by nam do miłych przyjaciół zarosły. Gdzie interes dmucha, przyjaźń krucha – interes jest kamieniem probierczym przyjaźni. Przyjaźń zgrzebna wcale nie potrzebna, przyjaźń przyjaźnią a interes interesem, przyjaźń bliska zawsze śliska.

Kto nie miłosierny, przyjaciół niepewny. Kto w drobnym przyjaciela skrzywdzi, skrzywdzi i w czym innym.

Podupadłym przyjacielem nie pogardzaj. Z przyjaźnią, jak z nową suknią: często używając spowszednieje, rzadko – użyta – dłużej trwa. Niedobra to przyjaźń, którą wysługą albo pochlebstwem okupywać trzeba. Tanio dostać przyjaciela, kogo słowem dobrym a czapką sobie kupisz.

Takie bliskie przyjaciela jak wór i ciela, wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły. Takie przyjaciela, jak żeby mokrom dupom w popiele sied. Niechaj diabeł bierze przyjaźń na papierze.

**Czesław Guit
Lubuń**

Niepisana zasada traktowania pracownika jak cytryny – wyciśnij i wyrzuć – kończy się, zastępowana jest zasadą równowagi wymagań i opieki. Ważne pojęcia: kariera, biznes, zysk przegrywają z zasadami humanizmu obowiązującymi tak szefów, jak i pracowników.

Niedawno wyczytałem, że na rynku pracy, niestety w zachodnim świecie, zapanowała moda polegająca na tym, że ideologie bezwzględnej rywalizacji w pracy ma zastąpić wzajemna harmonia, akceptacja, nawet czułość. Rynek pracy podlega istotnym przemianom, a wraz z nimi zmieniają się postawy graczy, którzy na nim funkcjonują.

Przewartościowaniom na rynku towarzyszy przegląd kadr, w cień odchodzi zamordyzm i toksyczni szefowie, bezduszni liderzy sukcesu, model: po trupach do celu. W przeszłość odchodzą wiecznie zabiegani pracoholicy i korporacyjni wyjadacze zawdzięczający błyskotliwe kariery wysługiwaniu się hierarchii.

Menedżerowie naładowani talentami i testosteronem, szefowie z męskim syndromem alfa – dominujący przywódcy stada i ich twarda, bezwzględna ręka już się przeżyli. Niepisana zasada traktowania pracownika jak cytryny – wyciśnij i wyrzuć – kończy się, zastępowana jest zasadą równowagi wymagań i opieki. Ważne pojęcia: kariera, biznes, zysk przegrywają z zasadami humanizmu obowiązującymi tak szefów, jak i pracowników.

Informacje o nowej modzie w krajach zachodnich czyta się jak bajkę o dobrym wilku: zatrudnia się ludzi po to, by byli lepsi od szefa zarządzającego ich pracą, ustalając uczciwe, klarowne i zrozumiałe reguły gry, motywowanie ludzi do pracy

przez ucieczkę od wytwarzania atmosfery nacisku i strachu. No, no! Szef ma potrafić rozwiązywać problemy i konflikty interpersonalne, ma dbać o ich komfort i dobre samopoczucie psychiczne i fizyczne.

Kultura w firmie, konsensus zamiast narzucania decyzji, pielęgnowanie bezpośredniego sposobu bycia, wiedza o sobie nawzajem i o swoich problemach – osobistych też. Firmowa organizacja swoją siłę czerpie z ludzi, jeśli oni odejdą wszystko się rozpadnie, anonimowość niszczy efektywną organizację.

Ponoć, transformacja, jaka odbywa się na świecie, przenosi się do Polski, rynek pracy stopniowo staje się rynkiem pracobiorcy a nie pracodawcy (wpływ emigracji zarobkowej?). Ponoć wychodzimy powoli z okresu kapitalizmu krwiożerczego. Mimo oporu nieludzkich, nieugodowych i nieempatycznych wodzów menedżerskich i zwolenników technokratycznego zarządzania, tu i ówdzie zaczyna obowiązywać hasło troski, bo ta się po prostu opłaca: szacunku dla psychicznych oraz duchowych potrzeb pracowników i pomoc w ich realizacji, wsparcie w świadomej walce z kryzysami tożsamości.

Myślę, że mało pocieszające w tym wszystkim jest to, że opisana wyżej materia dotyczy w gruncie rzeczy problematyki dużych centrów, firm, banków, rekinów agencji reklamowych, ubezpieczeniowych, a obojętna jest dla jednostek gospodarczych

Od depresji do p...

czy administracyjnych w terenie. Dotyczy bardziej „wyciągu szczurów” i pracowników „w białych kołnierzykach”, „jajogłowych” niż zwykłych wyrobników w tysiącach firm i firemek na zawsze lekceważonych na robotniczych stanowiskach pracy. Tam, gdzie byty istnienia i przepływy gotówki są zagrożone. Tam, gdzie 20-24 mln pracowników otrzymuje pobory symbolicznego, na niezmiennym poziomie, płacy minimalnej 1000 zł, a hasło żyć nie umierać nie ma nic wspólnego z tzw. karierą, raczej z trwaniem w pracy w strachu czy z niej nie wywałą.

Człowiek, pracownik, ma to do siebie, że przystosuje się do każdej sytuacji, zwłaszcza, jeśli przyjdzie to lepsze, ludzkie, normalne. Moda na nowe trendy, okresowa fanaberia czy przejściowa moda, nieważne. Przeciętny pracownik, ale i „jajogłowy” i tak da się uwieść obrazom bezdusznych ludzi sukcesu, skusi się na podwyżki, nagrody, premie, awanse, podda się niezdrowej konkurencji. Będzie walczył o robotę, z własnymi lękami, ze strachu przed innymi. Będzie nadal dziesiątkowany przez objawy przemęczenia, przeciążenia, wypalenia stresem, bez sił po 10, 12 i więcej godzin pracy, obojętny na refleksję czy i jak otoczenie jego miejsca pracy zmienia się.

I tu pora nawiązać do tytułowych przypadłości, nie jako przypadłości chorobowych medycznie zdefiniowanych a przejawu negatywnych konsekwencji społeczno-ekonomicznych. Na tym tle coraz bardziej rozpowszechnionych problemów zdrowotnych zagarniających do specjalistycznego leczenia, co najmniej co piątego dorosłego Polaka. Przyczyny chorób rozpoznanych medycznie, tak jak cukrzyca, nadciśnienie tętnicze czy alkoholizm obejmują zarówno czynniki psychologiczne, biologiczne czy społeczne.

Niezmiernie interesującym jest to, jak możliwe jest przemeblowanie własnego, pracowniczego wnętrza, rejestrowanie nowych wzorców, porządkowanie systemu wartości – odgrzebywanie go między kategoriami pracy dobrej i złej, przyjemnej lub nudnej, zyskowej czy małoopłacalnej, pracy z musu lub wyrachowania, pracy niewdzięcznej czy o najwyższych wartościach i walorach etosu, spełniania się lub nie, pracowniczego ocze-

kiwania.

Dla ludzi charakterowo mocnych sprawa może być prosta, dla pracownika już przetrąconego gęstą i nieprzyjazną atmosferą pracy, diagnoza może tylko potwierdzać stopniowe rodzenie się skłonności do autodestrukcji i zaburzeń osobowości na pograniczu depresji, nerwicy i psychozy.

Czy znamy uczucia zamartwiania się o dzień dzisiejszy, o przyszłość, niechęć do pracy i wykonywania codziennych, monottonnych i ogłupiających czynności? Oczywiście, że tak. Idą w parze z brakiem zadowolenia z życia i niechęcią do życia, poczuciem ciągłego zmęczenia, utratą zainteresowań. Znamy huśtawki nastrojów, odsuwanie od kontaktów z ludźmi, uczucie wewnętrznego napięcia i niepokoju. Po źle przespanych nocach budzimy się ze złym samopoczuciem i bólem głowy, nie mamy apetytu, przetrąceni z dziurami w pamięci i ociężali i tak na okrągło, w kółko. Pracujemy lub szukamy roboty: silni, zwarci, gotowi do nowych wyzwań. Partnerstwa, tyle, że z zarodkiem objawów depresji we wnętrzu lub jej zaawansowaniem wymagającym natychmiastowej interwencji lekarza psychiatry.

Ponieważ problem dotyczy nowych modeli stosunków międzyludzkich w pracy, rzecz staje się bardziej skomplikowana, gdy dotyczy pracowników energicznych, wojujących a przy tym niepokornych. W ich samodzielności mogą mieszać się wolność z obsesją, wizja z zaślepieniem, pokora z pychą urojenia z rzeczywistością. To częste „walory” ludzi z kierownictwa, ale i ludzi z pasją walki, elementami charakterystycznymi i cennymi dla możliwości utrzymania się na rynku pracy.

Jest już źle, jeśli sądy o rzeczywistości, choć logicznie połączone i uporządkowane odbiegają od realiów, są nieprawdziwe. Ale dla walczącego – niekorygowalne. To jest już stan urojeń i dowodzi paranoi delikwenta.

Jego zachowanie: autorytaryzm, podejrzliwość, podwyższone poczucie własnej wartości, pewność, że „ja wiem wszystko” wymaga leczenia psychiatrycznego. Występowanie urojeń, np. przekonanie o krzywdzeniu przez instytucję, szefa, konkurenta itp. wywołuje skargi, odwołania, interwencje w mediach, domaganie

się sprawiedliwości, wymusza „urealnianie” pacjenta. A to skazane jest na niepowodzenie. Tu jest ciekawa sprawa: mimo wypowiedzi układających się w logiczną i przekonywującą całość nie wolno godzić się z podstawami zbudowanego systemu urojeniowego.

Leczenie paranoika jest skomplikowane i długie, ale za to pozbycie się niewygodnego i patrzącego na ręce partnera wygodne, możliwe i szybkie: wystarczy długo i skutecznie być obojętnym na jego argumenty i dowody – podstawy zbudowanego systemu odwoławczego „urojeniowego”. Rzekomo chorego z urojenia można wyrzucić z pracy na „zbitą twarz” a nawet, niewygodnego, zapudłować w „oddziale zamkniętym”. To jest groźne, uogólniając, jeśli jakiś aktywny obywatel nie może pogodzić się ze swoją krzywdą, to grozi mu posądzenie o paranoję i zamknięcie w zakładzie psychiatrycznym.

To jeszcze nie wszystko. Również w krajach Europy Zachodniej mówi się o trudnych przypadkach leczenia psychiatrycznego z zaburzeń pn. „pograniczne zaburzenie osobowości”. Ten syndrom niedoboru endorfin w organizmie świadczący o zaburzeniu osobowości na pograniczu psychozy i nerwicy, jest... Źródłem kreatywności. To rodzaj „boskiego szaleństwa”, lekka psychoza, bliska i dość powszechna gwiazdom i artystom potrzebującym mocniejszych bodźców, aby czuć się twórczymi i szczęśliwymi. Brak takich bodźców prowadzi do depresji i uzależnień (alkohol i narkotyki).

Artysta, zwłaszcza skandalizujący zawsze w oczach społeczeństwa uchodził za odmienca, a Zygmunt Freud, słynny na świat psychoanalityk, usankcjonował to mniemanie w nauce. Był przekonany, że istnieją ścisłe związki między genialnością a obłąkaniem lokując artystę, nie tylko poza moralnością, ale również poza prawem.

Pora na konkluzję: dobrze, że „idą dobre czasy” dla partnerskich układów i stosunków międzyludzkich. Jeśli idą. Gorzej, jeśli kryzys komunikatywności nie będzie odchodził w cień, co nie rzuci się w oczy cherlawej intelektualności jego odbiorców.

**Czesław Guit
Lubuń**

Paranoi

Takie „Kas

Jeżeli tęsknota pojawia się tam, gdzie jest pustka, to ja obsesyjnie udowadniam, że jej nie znam. Ale znam marzenie i próby jego spełnienia. Jako człowiek o ustalonej tożsamości – choć niekoniecznie z własnej woli – ze zdumieniem spoglądam na ludzi oczekujących wydarzeń niepojętych. Często zastanawiam się, dlaczego to cud istnienia ludzkiego nie zdumiewa nas wystarczająco? Przecież cud istnienia wywołuje cud tworzenia, bo „... któż nie spodziewa się cudów, gdy jeden cud się stanie...” – oświadcza logicznie nasz poeta Czarek Wosinek.

Nie zna pustki ten, który czuje, a stopień ekscytacji, namiętności czy emocji związanych z człowiekiem drugim i marzeniami – wzmacnia nas i ukierunkowuje. Pozwala dalej i śmielej wędrować przez życie i co więcej – ukształtować etycznie i estetycznie.

Człowiek nie umiera z wiekiem, ale z... zapomnieniem (póki człowiek, żyje zwątpić w niego nie wolno). Chociaż „to co nas spotyka, przychodzi spoza nas...” (wg poety Ks. J. Twardowskiego) – to ja jako „namiętność daremna”, raz jeszcze pragnę



zainteresować Czytelnika losami – cudami (arcytrudnymi i arcyciekawymi) wybranych tylko mieszkańców Domu Pomocy Społecznej w Lubuczewie.

Jeśli chcemy przyrzeć się jednemu tylko losowi człowieczego życia, musimy osadzić go w wielu kryteriach i normach: czasu i miejsca narodzin, przynależności etnicznej, kulturowej, czy genetycznych właściwości percepcyjnych życia i przeżywania.

Świadomość kroczenia po Ziemi, ale wspólnie z towarzyszącym człowiekowi światem duchowym, jest obecna od początku. Świat, to nie tylko zbiór rzeczy do czegoś, postrzeganych podświadomie. Ziemia nie daje nam nawet poczucia, że jesteśmy u siebie. Jednak nadzieja nieskończoności, czy jak kto woli – ruch kołowy w przyrodzie, wyzoliła w człowieku cud kolejny: zdolności marzenia i tworzenia wartości nieinstrumentalnych.

Mistyczne chwile uniesienia ma każdy z nas. Owa mistyka, to chęć bycia lepszym w tym co się robi i czuje. Jak mówi powiedzenie: „Dobre – to złe. Wyjątkowe – to dobre”. To, co się dzieje na naszych oczach, lub, w czym bierzemy udział – powinno być wyjątkowe. I chociaż marzenie nie jest całkowicie osiągalne, to ma tę zaletę, że można je osiągnąć, chociaż w części. (Na

własny użytek uważam, że wszystko jest grzechem, bo wszystko można zrobić lepiej).

Sądzę, że wywołałem wystarczająco wiele emocji i refleksji, by przedstawić wreszcie naszych mieszkańców, których godność silniejsza jest od cierpienia i choroby. Podziwiam ich, bo są autentyczni i naturalni w swych smutkach i radościach. To nie wyobraźnia – szczególnie wyobraźnia mistyczna – jest niebezpieczna dla równowagi psychicznej. To logika. Pytanie – co jest normą, a co nie jest? – powinno dać wiele do myślenia.

Pan Cezary ma 41 lat. Zafascynowany historią był już będąc studentem III roku Wydziału Historii. W zachowaniu czarujący, czasem zatrważający. Zna dobrze język niemiecki i język rosyjski, a historię Europy (szczególnie Niemiec) – perfekcyjnie. Jego subtelność i intelekt wywołują odwagę poetyckiego wyrażania myśli. Perfekcyjny w odróżnianiu „ziarna od plew”, pisze pięknie i smutno. Tak też śpiewa w zespole. Lubi wykonywać repertuar Marka Grechuty.

Pan Ryszard, urodzony w roku 1934, pochodzi z Wileńszczyzny. Doświadczył okropności wojny. Jako dziecko przez dwa tygodnie przebywał w okopach z ludnością cywilną w czasie trzaskających mrozów, płonących zabudowań, strzelaniny i o gło-

„zubskie Echo”



Fot. J. Maziejuk

dzie. Okopy okazały się jedynym miejscem dającym nadzieję na przeżycie. W 1946 roku przyjechał z rodzicami do Bytowa, gdzie prowadzili gospodarstwo z różnym powodzeniem. (Praca na roli była kiedyś tak ciężka, że ja – na swój użytek – nazywam ją najpiękniejszą modlitwą). Starszy brat został kapitanem żeglugi wielkiej, on został przy rodzinie i ziemi. Będąc po czterdziestce, często żył z procentów. (Te ludzkie słabości nie są mi też obce i mam odwagę przyznać się do tego błędu życia). Wykonuje unikalne ballady frontowe i żołnierskie pieśni. Jest pogodny i pogodzony z losem. To człowiek – dąb, który kiedy śpiewa – ma twarz dziecka radosnego.

Pan Kazimierz urodził się w 1941 roku. Kto pamięta nowelę „Janko muzykant”, wie o nim wszystko. Bezradnie uwikłany w czas wojny i jej skutki, trudy życia pokonywał na wsi. Był cenionym pracownikiem melioracji. Teraz swoje miejsce na dalsze życie wybrał sam. Tylko prawdziwego mężczyznę stać na taką decyzję! Jego muzykalność przejawia się choćby w sposobie bycia. Emanuje z niego kultura subtelna i szczerą. Śpiewa z naturalną wibracją, a jego słowiański przekaz – zachwyca. Życie pojmuje zawsze prawdziwie po katolicku – godnie i z pokorą. Jest mądry, silny i dobry. Jego pogoda ducha

i „kawalerska fantazja” powodują, że niejedna pani gotowa jest oddać mu rękę z... przyległościami. Jest przewodniczącym Rady Mieszkańców, a z jego zdaniem liczą się pracownicy i mieszkańcy. O takich ludziach mówi się, że mają „iskrę Bożą”.

Pan Janusz skończył 47 lat. Po wojsku ożenił się i wychował troje dzieci. Nie bał się żadnej pracy – betoniarz, listonosz, kierowca. I chociaż los nie oszczędził mu nieszczęść – utracił palce u nóg, nie pamiętają o nim dzieci – pozostał nieugięty w swej godności. Jest inwalidą I grupy, ale za to, jakim! Pomaga współmieszkańcom w codziennej egzystencji dyspozycyjny wobec każdego. W zespole muzycznym gra na „diabelskich skrzypcach”, śpiewa i recytuje.

Pan Marcin ma dopiero 30 lat. Kiedyś uczeń technikum budowlanego. Poprawnie mówi w języku niemieckim, gra na keyboardzie. Kolekcjonuje wydawnictwa o tematyce religijnej. Udział w zespole oraz bardzo częste kontakty z rodziną – równoważą jego zdrowie. Odtwórca postaci Jezusa w Misterium Męki Pańskiej w Smołdzinie. Bardzo przystojny. Lubi sentymentalne rozmowy z kobietami, ale – pomimo młodego wieku – wie, kiedy te rozmowy zakończyć (tego zazdrościsz Marcinowi najbardziej).

Pan Tomek już w szkole podstawowej uczęszczał do DSM w Słupsku. Po latach, był klarncistą w orkiestrze dętej (i to znanej w naszym powiecie). Wyróżnia go częste poczucie humoru z celnymi pointami. (Na pytanie: kto zapoczątkował jego pasję wędkarską? – odpowiedział ze śmiechem: „Nikt! Kiedy jako sześciolatek dowiedziałem się, że ryby można

łapać, złapałem jakąś wędkę i poleciałem do najbliższej rzeki. Tak już zostało. Każdy mój pobyt z rodziną uszczuplony jest o czas mojego wędkowania. Wypoczywam i zdrowieję wtedy najbardziej”.

Pan Józef urodził się w 1948 roku. Kiedyś kierowca i właściciel Taxi. Miał też swój zespół muzyczny obsługujący zabawy i wesela. Przeboje minionych lat odtworzy nawet „we śnie”. Sprawia wrażenie zwycięzcy myślenia o chorobie jako przeszkodzie – którą trzeba pokonać.

Na zakończenie chcę też podkreślić, że „ucieczka” w twórczość, czy jakiś gatunek sztuki – jest ucieczką od prawdy, którą nazwać trzeba upadkiem. Jest to rodzaj odpoczynku w walce o przetrwanie (osiągalna forma marzenia). Fiodor Dostojewski – o ile dobrze pamiętam – uważał, że dwie są najpiękniejsze postacie na świecie: Jezus Chrystus i Don Kichot. Pierwszy jest nieodścignionym wzorem Człowieka, drugi – marzenia.

Klemens Rudowski
Dom Pomocy Społecznej w Lubuczewie



Fot. J. Maziejuk

Wspaniali

Prezentujemy sylwetki laureatów Słupskiego Samorządowego Konkursu „Ośmiu Wspaniałych 2007”. Konkurs rozgrywany jest na szczeblu lokalnym i ogólnokrajowym, a biorą w nim udział najaktywniejsi wolontariusze.

Małgorzata Grochola – reprezentowała Słupsk na etapie ogólnopolskim. Jest uczennicą Gimnazjum w Smołdzinie. Należy do grona najlepszych uczennic, aktywnie działa w Parlamencie uczniowskim. Jest zastępową 10. Smołdzińskiej Drużyny Harcerskiej „Tsunami”, ze swoim zastępem organizuje zajęcia w świetlicy środowiskowej dla dzieci. Organizuje też biwaki, akcje zarobkowe. Ma swój udział w przygotowaniu „Spo-

Autobuse

Pierwszy raz w historii Wybrzeża Słowińskiego komunikacja autobusowa dotarła do Czołpina. Nigdy wcześniej turyści wypoczywający w Poddąbiu, Rowach czy Łebie nie mieli tak dogodnych połączeń z Klukami, Słupskiem i Ustką. Tego lata słupski prywatny przewoźnik „Nord Express” wprowadził szereg udogodnień, które poprawiły lokalną ofertę komunikacyjną.

To już trzecie wakacje, podczas których „Nord Express” stara się spełnić letnie oczekiwania wczasowiczów i mieszkańców Pomorza. Połączenia autobusowe zapewniają linie sezonowe 111 (Ustka – Poddąbie – Rowy – Kluki - Łeba) oraz 112 (Słupsk – Poddąbie i Rowy). Turyści mają do dyspozycji również linie całoroczne ze Słupska do Ustki, Smołdzina czy Dębnicy Kaszubskiej.

Autobusy jadące z Ustki do Łeby (i z powrotem) zajeżdżają nie tylko do Kluk, ale także do Czołpina, Rowów i Poddąbia. Nowe połączenia z plażami i kurortami zyskały również mniejsze miejscowości turystyczne, które leżą dalej od morza – Machowinko, Objazda czy Smołdziński Las. Rozkład jazdy pozwala pasażerom na wygodne przemieszczanie się pomiędzy letniskami oraz atrakcjami regionu.

Wakacyjne linie sezonowe 111 i 112 funkcjonować będą do 2 września br. Warto nadmienić, że letnią ofertę uzupełnia ponadto linia 100 pomiędzy Słupskiem i Ustką oraz nocna linia N100 na tej samej trasie w weekendowe noce. Autobusy linii 102 i 103 docierają natomiast do Parku Krajobrazowego „Dolina Słupi” i Szlaku Najstarszych Elektrowni Wodnych w Europie. Linia 104 ułatwia komunikację ze Słupskiem wczasowiczom urlopującym w pobliżu Gardny, Retowa czy Smołdzina.



tką z piosenką nie tylko religijną”.

Grażyna Duława - uczennica Zespołu Szkół Ekonomicznych i Ogólnokształcących im. Stanisława Staszica w Słupsku. Przez trzy lata opiekowała się ciężko chorym sąsiadem. Obecnie od ponad roku, codziennie przez kilka godzin, opiekuje się sparaliżowaną panią Grażyną, pomagając jej w wychowaniu pięcioletniej córeczki.

Emil Górzyński z Zespołu Szkół Samorządowych w Sycewicach od 2005 roku pracuje w Szkolnym Klubie Wolontariusza. Pomaga młodszym kolegom w nauce w świetlicy środowiskowej. Organizuje zbiórki odzieży i produktów żywnościowych. Pomaga bezdomnym zwierzętom zdobywając pokarm i chętnych do adopcji. Współpracuje z Towarzystwem Opieki nad Zwierzętami w Słupsku. W 2006 roku za swoją działalność otrzymał dyplom uznania i odznakę przyznawaną przez Centrum Wolontariatu w Słupsku.

Jan Jałowczyk z IV Liceum Ogólnokształcącego im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w Słupsku od dwóch lat jest wolontariuszem Towarzystwa Opieki Paliatywnej i Hospicjum Miłosierdzia Bożego. Regularnie spotyka się z chorymi, poświęcając im każdą wolną chwilę.

Urszula Kisiel z II Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza w Słupsku ponad rok przewodniczyła Szkolnemu Klubowi Wolontariusza i klub-netowi „Afera”. Była koordynatorem kilku projektów, m.in. „Bawimy się i uczymy wspólnie” z pensjonariuszami Domu Pomocy Społecznej w Machowinku. Inicjatorką spotkań ekumenicznych propagujących tolerancję i wzajemne poszanowanie.

Alicja Mańczak jest uczennicą Publicznego Gimnazjum Nr 5 w Słupsku im. Sejmu Polskiego. Bardzo aktywnie działa w Szkolnym Kole Caritas G-5. Od 2004

roku bierze też czynny udział w wielu akcjach charytatywnych na rzecz dzieci chorych na nowotwory, m.in. „Pomóżmy Oli”, „Pomóżmy Kamili”. Współpracuje ze słupską fundacją „Nadzieja”.

Alicja Minda – uczy się w Zespole Szkół im. Czesława Miłosza w Siemianicach. Od ponad roku jest wolontariuszką w słupskim hospicjum. Z jej inicjatywy w 2006 roku powstało w szkole Koło Wolontariusza, w którym Ala inicjuje działania prospołeczne i zachęca swoich rówieśników do współpracy, m.in. do zbiórek pieniędzy dzieciom chorującym na białaczkę.

Dawid Surowicz z IV Liceum Ogólnokształcącego w Słupsku jest wolontariuszem Maltańskich Służb Medycznych. Prowadzi w swojej szkole kursy pierwszej pomocy, sprawuje opiekę medyczną nad osobami starszymi i nad dziećmi na słupskiej pływalni. (A.Sz.)

m do Czołpina



Linia 111 z dwóch stron dociera na wydmy w Słowińskim Parku Narodowym oraz łączy wszystkie kurorty słupskiej części Pomorza. Autobusy tej linii do końca wakacji będą wyjeżdżać z Rąbki, ale pozwolą także turystom wypoczywającym w Łebie i okolicy odwiedzić Skansen Wsi Słowińskiej w Klukach, Muzeum Przyrodnicze SPN w Smołdzinie czy latarnię i wydmy w Czołpinie. Dalej linią 111 wczasowicze dojadą do Gardny, Rowów, Poddąbią i Ustki. Rozkład działa również w drugą stronę - turyści nocujący w rejonie Ustki i Rowów mają też możliwość dojazdu do skansenu, wydm i Łeby. Linia 112 ułatwia wypoczywającym w Rowach, Poddąbiu i okolicy dojazd do Słupska. Mieszkańcom miasta pozwala natomiast na wypoczynek na plażach w obu tych letniskach.

Dla turystów przygotowano także letnią ofertę biletów z przesiadkami. Na przykład dzięki liniom 111, 101 i 105 podróż z Łeby do Słupska (z przesiadką w Główczycach) zajmuje niecałą godzinę i jest to najszybszy przejazd z oferowanych przez przewoźników autobusowych na tej trasie. Rozkłady jazdy, ulotki oraz schematy połączeń umieszczono w wielu punktach miejscowości letniskowych. Zadbano też o czytelne rozkłady jazdy na przystankach i schematy przebiegu linii.

Prywatnemu przewoźnikowi zależy na rozwoju turystyki, dlatego co roku stara się rozszerzać ofertę komunikacji autobusowej dla osób wypoczywających na Słowińskim Wybrzeżu. (P. R.)

Fot. J. Maziejuk



Fot. J. Fajfara

60 strażackich lat!

Ochotnicza Straż Pożarna w Potęgowie i Łupawie obchodziła 60-lecie istnienia.

Gmina Potęgowo liczy ponad 7 tysięcy osób. Ochrona ludności przed zagrożeniami pożarowymi znajduje się w rękach druhów dwóch jednostek OSP – w Potęgowie i Łupawie. Potęgowo jest gminą typowo rolniczą, ale w Runowie funkcjonuje pięknie położony ośrodek wczasowo-wypoczynkowy. Ze znaczących zakładów można wymienić dużą piekarnię, transportową firmę MIKOL, zakład produkcyjny ŁUPAVIA, firmę produkującą meble, Nadleśnictwo w Łupawie. Z istniejących kiedyś wielu jednostek Ochotniczej Straży Pożarnej zostały już tylko dwie i obie zostały włączone do Krajowego Systemu Ratowniczo-Gaśniczego.

Położenie gminy przy ruchliwej drodze krajowej nr 6 nie pozostaje bez wpływu na charakter działalności obu istniejących jednostek, które obchodzą w tym roku 60-lecie istnienia. Tworzone były one w trudnych powojennych warunkach przez fanatyków pożarnictwa, a na ich pierwszym wyposażeniu znajdowały się ręczne motopompy wożone konną furmanką. Na wieczną służbę odeszli już twórcy tych jednostek: Alojzy Kott, Stanisław Mikołajczak, Roman Radoń, Henryk Dawidowicz, Romuald Kulikowski, Józef Adamski, Władysław Kalembasiak - z Potęgowa, Wincenty Kurzawa, Mieczysław Bohdanowicz, Franciszek Wenta, Jan Wiezkowski, Waław Majewski, Jan Stenka - z Łupawy.

Powstałe po wojnie jednostki strażackie nie miały swoich siedzib. Dopiero w 1950 Potęgowo otrzymało swój pierwszy samochód, po który Stanisław Mikołajczak odbył wyprawę aż do Sanoka. Skoro był już samochód to potrzebna była remiza.

Nie było innego wyjścia, tylko trzeba było zakasać rękawy i samemu wziąć się do roboty. Garaże dawnej poczty w Potęgowie przystosowano do potrzeb straży. Cieśla, Bolesław Drabowicz, repatriant z podwileńskiej Powiewiórki wybudował drewnianą spialnię do węży. W Łupawie w roku 1980 druh Jan Chwał zorganizował Społeczny Komitet Budowy Strażnicy. Niestety, nie doczekał jej otwarcia. Najmłodszy syn Jana Chwała, Bogdan podobnie jak ojciec, nie liczył czasu poświęconego jednostce, a kilkuletni syn Bogdana też bierze czynny udział w zajęciach strażackich. O rodzinie Leśniaków w Potęgowie też wiadomo, że wszyscy są związani ze strażą. Od dziadka Zdzisława się zaczęło. Syn Piotr jest komendantem gminnym OSP, a wnuczki aktywnie udzielały się w drużynach młodzieżowych.

Druhowie z jednostek OSP są zawsze w centrum życia społecznego małych miejscowości. Tak jest również w Potęgowie i Łupawie. Strażacy pracują zawodowo, biorą udział w akcjach gaśniczych, niosą pomoc ofiarom wypadków drogowych, powodzianom, pełnili służbę porządkową w czasie wizyt papieża Jana Pawła II. We współpracy z Gminnym Ośrodkiem Pomocy Społecznej rozwijają dla potrzebujących żywność pozyskaną z Banku Żywności w Tczewie. Rokrocznie pomagają też w zbiórkach Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy.

Nie ma ważniejszych wydarzeń w gminie, w których nie braliby udziału strażacy. Podkreślić należy, że są nielicznymi prawdziwymi ochotnikami. Za swoją pracę od lat nie pobierają należnego ekwiwalentu, po to, by w niezamożnej kasie gminnej

uzbierać więcej pieniędzy na potrzebny sprzęt. Bliskim sojusznikiem strażaków jest obecny wójt Potęgowa, Jerzy Waldemar Awchimiemi, który już drugą kadencję pełni też funkcję prezesa ZG ZOSP. Często mówi: „Jako prezes ustalę z wójtem, co można zrobić dla straży”. Za ochronę lasów, strażacy w Łupawie zyskali sponsora w miejscowym Nadleśnictwie, którego nadleśniczy Czesław Jereczek bardzo ceni sobie współpracę z ochotnikami. Dzięki wspólnym staraniom wymieniono stare wysłużone samochody na nowe. Jeden, ze Szwecji, zasponsorował strażakom miejscowy biznesmen - Jerzy Olszewski.

Jednostka z Potęgowa otrzymała nowoczesny sprzęt do ratownictwa drogowego. W remontach strażnic wiele prac wykonują sami ochotnicy. W Potęgowie



Fot. J. Fajfara

przygotowują się teraz do remontu zabytkowej spjalni. W remizie sami urządzili świetlicę, w której mają komputer. Mają też miejsce do wypicia kawy, przyrządzenia kielbasek po pracy. Obecnie pracują przy utwardzaniu podjazdu pod garaże.

W Łupawie, przy remizie powstało niedawno prężnie działające Koło Gospodyń Wiejskich. Przy tutejszej OSP istnieje dziewczęca, chłopięca, a nawet kobieca drużyna strażacka. W 2004 roku laureat z Potęgowa, Dawid Grudzień w Ogólnopolskim Turnieju Wiedzy Pożarniczej dotarł aż do finałów krajowych. Od lat duże grupy dzieci zdobywają umiejętności strażackie na organizowanym w Starżnie obozie szkoleniowo-wypoczynkowym.

Żywioty od wieków pochłaniały życie i mienie ludzkie, od wieków człowiek starał się przed nimi chronić lub ujarzmić siły natury. Postęp cywilizacyjny i techniczny zmniejszył zagrożenia niesione przez ogień, wodę czy wiatr. Ten sam postęp techniczny nałożył jednak wiele nowych zadań na strażaków. Współczesny strażak przestał już być tylko i wyłącznie kimś od gaszenia pożarów. Jest ratownikiem drogowym, bierze udział w akcjach przeciwpowodziowych, neutralizuje niebezpieczne substancje chemiczne. Dobry nowoczesny sprzęt dzisiaj to nie wszystko. Solą tej służby są strażacy, ich doświadczenie i wyszkolenie w połączeniu z umiejętnym posługiwaniem się posiadanym sprzętem.

Z okazji 60-lecia powstania obu jednostek starosta słupski Sławomir Ziemiąnowicz - prezes Zarządu Oddziału Powiatowego ZOSP RP wręczył sześciu strażakom - seniorom pamiątkowe dyplomy oraz strażackie statuetki wraz z listami gratulacyjnymi. Otrzymali je: Zdzisław Leśniak, Bogusław Bida, Stanisław Grudzień, Jan Szpakowicz i Franciszek Teclaw.

(Materiał nadesłany przez Gminę Potęgowa)



Mają nową strażnicę

14 lipca br. w Bukówce oddano do użytku nową strażnicę Ochotniczej Straży Pożarnej. Straż istnieje tu od czterdziestu czterech lat.



Fot. J. Fąfara

Przez cały czas bierze aktywny udział w akcjach ratowniczo-gaśniczych i pracach społecznych. W ub. roku zdobyła tytuł Przewodzącej Ochotniczej Straży Pożarnej Gminy Słupsk. Strażacy z Bukówki są dobrze przygotowani do prowadzenia działań ratowniczo - gaśniczych, niezależnie od rodzaju zagrożenia i warunków atmosferycznych. Prowadzą wzorową współpracę z Kołem Gospodyń Wiejskich, Zespołem Szkół w Jezierzycach i Siemianicach, zakładami pracy, Radą Sołecką i społecznością lokalną.

Tradycje OSP wiążą się z odwagą i gotowością strażaków do niesienia bezinteresownej pomocy ludziom stojącym w obliczu zagrożenia życia i mienia. Wypełnianie strażackich powinności zawsze wymagało gotowości do największych poświęceń, z utratą zdrowia lub życia włącznie. Strażackie postawy spotykają się ze społecznym uznaniem i szacunkiem. Bukowscy ochotnicy dawno zasłużyli sobie na nową strażnicę.

Mariusz Chmiel - wójt gminy Słupsk, a jednocześnie prezes Zarządu Oddziału Gminnego Związku OSP RP na uroczystym otwarciu strażnicy szczególne słowa podziękowania skierował do druha Marka Jankowskiego - prezesa Zarządu OSP w Bukówce. Odegrał on największą rolę przy budowie nowej strażnicy. Sporo ciepłych słów skierował też do druha Ryszarda Sadowskiego - naczelnika OSP.

W uroczystości otwarcia wzięli udział przedstawiciele wszystkich dziesięciu OSP. Im wójt też dziękował za pracę. Wyrazy pamięci i wdzięczności skierował do seniorów, którzy w OSP odnajdywali często cel swego życia: Jerzego Kotowicza, Arkadiusza Paszkowskiego, Mirosława Frąckiewicza, Jacka Koperskiego, Jarosława Łódka, Andrzeja Łukaszyka, Dariusza Redkła, Franciszka Szajdę, Piotra Synowskiego, Tadeusza Korewo, Adama Omłockiego, Grzegorza Paszkowskiego, Grzegorza Sosnowkę, Jacka Steca. Pierwszych dwu odznaczył Złotym Medalem za Zasługi dla Pożarnictwa. Siedmiu kolejnych - Srebrnym Medalem, a pozostałych - Brązowym. Ośmiu ochotników wyróżnionych zostało Odznaką „Strażak Wzorowy”. Otrzymali ją: Tomasz Bujwid, Mariusz Broll, Artur Brzeziński, Dariusz Hanuła, Tomasz Hanuła, Łukasz Maksymowicz, Łukasz Sędziak i Michał Zapart.

Starosta słupski Sławomir Ziemiąnowicz wręczył druhowi Markowi Jankowskiemu - prezesowi OSP Bukówka pamiątkowy dyplom, a druhowi Zygmunutowi Hoppe strażacki kordzik - za całokształt pracy w OSP.

Józef Tejc
Wydział Zarządzania Kryzysowego i Obronności

Wojenne drama

Gdy tylko ojciec wrócił – i to w randze oficera WP – z wojennej tułaczki, powędrował więc kibitką SS do aresztu Gestapo, a stamtąd do KL Dachau i Mauthausen-Gusen.



Dzięki Międzynarodowemu Czerwonemu Krzyżowi w 1941 roku uzyskał warunkowe zwolnienie z kamieniołomów Gusen. Schorowany, wyschnięty niczym przysłowiowa szczapa (wagił 39 kg), cały w bliznach. Ledwo doszedł do siebie, wraz z siostrą Janiną Wesołowską zaczął działać w konspiracji. Utworzył grupę bojową Związku Walki Zbrojnej (Armii Krajowej) z ośrodkiem szkoleniowo-dyspozycyjnym w... swoim mieszkaniu. Pod koniec sierpnia '42 hitlerowcy wpadli jednak na jej trop.

Pochodzi z Bielska-Białej, które mniejszość niemiecka na Śląsku Cieszyńskim zwała w okresie międzywojnia małym Berlinem. Tam jego dziadek Zygmunt Kisielewski herbu Jelita (notabene stryj Stefana pseud. Kisiel, rzadziej Klon) był radcą skarbu w starostwie. Ojciec Aleksander pracował w zbliżonym charakterze w magistracie. Miał jeszcze jedno hobby: razem z matką Pauliną wszystkie wolne chwile spędzał w organizacji Sokoła. To ich zgubiło: we wrześniu 1939 oboje znaleźli się na listach proskrypcyjnych tzw. V kolumny.

- W czasie któregoś z zebrań – wspomina Lech Kisielewski, wtedy niespełna trzylatek – zauważyłem przez okno (ów „operacyjny zwiad” stanowił moją specjalność) mknących gestapowców w charakterystycznym czarnym samochodzie ze „skręconym ogonem”, czyli z rezerwo-

wymi kołami. Policja! – szepnąłem. Twarze ostrzeżonych zbladły, zeszywniały. Mama jęknęła z rozpaczy, przeżegnała się, przytulili kurczowo siostry, braci i mnie. Tato błyskawicznym ruchem wepchnął za podłogowe klepki trzy „dyżurne” pistolety. Wiedzieli, że są bez jakiegokolwiek szansy. Zdesperowani, czekali cierpliwie na finał. Ja też...

Nadeszli faszyci. – Raus! Alles – ryknął od progu gruppenführer. – Z dziećmi?.. – wyrwało się płaczącej głośno matce. – Alles! – powtórzył krzykiem oprych z Geheime Staatspolizei. Wstali. Ruszyli, zostawiając wszystko, ku drzwiom...

Zaparkowana przy płocie więźniarka przetransportowała bielskich „terrorystów” i „bandytów” do Neue Hütte - Polenlager X (podobóz oświęcimsko-brzeziński) w Siemianowicach. Półroczne „śledztwo” wlokło się dla wycieńczonej fizycznie i psychicznie matki w nieskończoność. Zgłodniała, podszyta strachem pod pejcem kapo dzieci w wieku 3 – 8 lat mizerniały z

dnia na dzień. A tu przybył kolejny, wciąż płaczący „drobiazg”. No i prawdziwy dramat: wywóz ojca i ciotki Wesołowskiej do słynnej celi nr 1 dla więźniów politycznych w Mysłowicach. Stamtąd – prosto pod mur straceń w Oświęcimiu. Tak było z nimi. Sąd doraźny. Kara śmierci za „dywersję przeciw Rzeszy oraz (dot. ciotki, której mąż – po ucieczce z kraju – walczył w brytyjskim lotnictwie RAF) kolaborację z jej zachodnimi wrogami”. Egzekucja i krematorium w KL Auschwitz. Przedtem wielotygodniowe tortury w bloku nr 11. Obozowe komando poinformowało matkę Leszka o wykonaniu wyroku... tydzień przed faktyczną śmiercią.

Chłopiec wpadł w amok. Rzucił czymś metalowym w członka komanda. Efekt? Pamięta jedynie straszliwy ból brzucha, nerek, kręgosłupa i prawej ręki, ściślej nadgarstka z wystającymi przez skórę kośćmi. Cudem wyszedł z opresji z życiem, choć niektóre rany odczuwa po dziś dzień...

maty

Z końcem marca 1943 wypuszczono ich z karceru, jednak bez prawa powrotu do Bielska. Resztę wojny spędzili przeto u jednej z ciotek w dalekim Drohobyczu. Dzięki komu odzyskali wolność, nie wie Lech Kisielewski do tej pory. Mama milczała tajemniczo. Raz tylko wspomniała Francuzkę (zmarłą w Wersalu pod Paryżem) – swoją siostrę Irenę Zimakowską i organizację, za jej sprawą, wykupionej kwesty złota wśród członków AK w Cieszyńskim. Mieszkali wtedy (1945) kątem u babci Zofii i ciotki Iwony w Jaworzu koło Bielska (nie wszyscy, bo starsze siostry i braci ulokowała rodzina w domach dziecka).

Dalsze koleje losu chłopaka? Podstawówka. Szkoła Mechanizacji Rolnictwa, Akademia Wojskowa. Żołnierka. Zaoczne studia prawnicze (specjalność: prawo karne i międzynarodowe). Praca w administracji państwowej w Koszalinie (1964) i w Słupsku (1975). Wreszcie, już anno domini 1987: renta, później emerytura kombatancka.

- W czterdziestym ósmym roku życia? – dopytuję z ciekawości, nie bez zdziwienia.

- Odezwały się urazy nowohuckie. Byle jak złożona ręka uwierała coraz bardziej. Nie było żartów, skoro ja – żołnierz – musiałem złożyć broń. Dalszy los? Co robię, 59-latek? Córa, syn, troje wnucząt (3 – 6) w Słupsku (jedno z dzieci w Edmonton, Kanada). Ogródek. No i Związek Inwalidów Wojennych, Związek Kombatanatów RP, Związek Byłych Więźniów Politycznych Hitlerowskich Więzień i Obozów Koncentracyjnych, Fundacja im. Maksymiliana Marii Kolbego we Freiburgu (RFN). Schodzą mi tam całe dni. Sam widzisz: z satysfakcją, której nie uświadczylbym nigdzie indziej.

Był rok 2001. Dziwiłem się, że od kilku miesięcy w ogóle go nie spotykam ani rano, ani po południu. Dopiero przypadkowy kontakt z jednym ze współdziałaczy ZIW uświadomił mi, że Kisielewskiego juniora nigdy już nie spotkam w tzw. ziemskim życiu za sprawą nagłej vis maior...

Jerzy Ryszard Lissowski, Słupsk

(Z wydanej niedawno książki pt. „Żywa legenda regionu nad Słupią”, rozdz. „Maluch w obozie śmierci”).



Fot. DPS Machowino

W świecie bajek Kleksa

„Świat bajek Akademii Pana Kleksa”- pod takim hasłem przeprowadzono XI Festyn Sportowy, który odbył się na początku czerwca w Domu Pomocy Społecznej w Machowinie.



Fot. DPS Machowino

Uczestniczyli mieszkańcy dwunastu Domów Pomocy Społecznej, w tym dziesięciu z województwa pomorskiego (Machowino, Machowinko, Lubczewo, Przytocko, Parchowo, Słupsk, Czarne, Lębork Nr 1, Lębork Nr 2, Wejherowo) oraz dwa DPS-y z województwa zachodniopomorskiego (Modrzewiec, Krzecko).

Przepiękne bajkowe stroje uczestników festynu dodały kolorytu imprezie. Po uroczystym otwarciu wszyscy uczestnicy zawodów oraz zaproszeni goście obejrze- li przepiękną inscenizację pt. „Akademia Pana Kleksa” przygotowaną w plenerze w wykonaniu mieszkańców i pracowników

DPS. Następnie starosta słupski Sławomir Ziemanowicz zapalając znicz olimpijski zasygnalizował rozpoczęcie sportowych zmagania.

Starannie przygotowane sportowe konkurencje nawiązywały do śmiesznych sytuacji bajkowych. Uczestniczyli w nich zarówno mieszkańcy DPS-ów, jak i ich opiekunowie. Po zakończonych konkurencjach ich zwycięzcy otrzymali pamiątkowe puchary, dyplomy i nagrody.

Zawody swoim charakterem nawiązywały do pięknych lat dzieciństwa, kiedy bajki odgrywają ważną rolę w życiu dziecka. (DPS)

Wędrówki po skansenie naszych praprzodków

– Właściwie – mówi kierujący słupskim Oddziałem Regionalnym PTTK już czterdziesty rok z rzędu (!) Janusz Grabowski – była to nie trzydziesta czwarta a czterdziesta druga już inicjatywa, którą w 1962 podjęli Jerzy Brosz i Bogusław Huczyński przy moim skromnym wsparciu, obejmowała jednak swym zasięgiem tylko ziemię słupską z „przełożeniem” na Środkowopomorskie. Status imprezy I kategorii uzyskaliśmy dopiero po reformie administracyjnej kraju w 1975 roku.

Chodzi oczywiście o zakończony niedawno, jak zwykle u progu lata, 32. Ogólnopolski Zlot i Rajd Turystyczny Szlakami Słowińskiego Parku Narodowego. Wspomniany czerwcowy rajd

Trasa najnowszej trzydniowej eskapady (za... 35 zł) dla około 200 fanów turystyki i krajoznawstwa, przeważnie domorosłych reprezentantów Słupska, Główczyca, Lęborka i Sławna wiodła przez miejscowości:



Fot. P. Kanigowski

miał niezwykle bogatą oprawę. Dość powiedzieć, że zbiegł się z 40-leciem Słowińskiego Parku Narodowego, jednym ze szczególnie hołubionych – tu, w Polsce i daleko poza granicami Rzeczypospolitej – światowych rezerwatów biosfery UNESCO.

Izba, Gać, Żarnowska i Łeba; stamtąd były wyprawy m.in. do Lęborka, Łąckiej Góry, Gardny Wielkiej. Formy wycieczek: piesze, rowerowe, autokarowe, a nawet... jachtowe pod opieką (głównie) Anny Królik, Margoty Szarbiewskiej, Urszuli Strzykowskiej, Roberta Bąka, Jacka Grabowskiego, Tadeusza Krawczyka, Arkadiusza Olesiejuka i Piotra Ptaka.

Najbardziej znaczące imprezy to prowadzony przez Genowefę Zielonkę konkurs wiedzy o SPN (bezkonkurencyjnymi laureatami okazali się uczniowie Gimnazjum „od wójta Czesława Kosiaka” w Główczychach, za nimi uplasowało się SK PTTK przy sławieńskim Ośrodku Szkolno-Wychowawczym i Technikum Ekonomicznym w Słupsku), tradycyjne regaty żeglarskie na jeziorze Gardno (zwycięzcy, jakżeby inaczej, to Janusz Grabowski oraz – tak, tak! – 84-letni komandor Jachtklubu „Orion” Antoni Taraszkiewicz). Wrażenia? Mówiące chyba same za siebie wypowiedzi nagabniętych przy pożegnalnym ognisku „rajdownców”: Super. Trendy. Cool!(el)

Fot. P. Kanigowski



Ten orzeł jeszcze patrzy...

historia pałacu i kościoła w cecenowie

Nazwę miejscowości, położonej na zachodnim zboczu doliny Łęby, utworzono najprawdopodobniej dodając formaton – owo do osobowej nazwy kaszubskiej Ciecienowo – od Ciecierad, gwarowo brzmiącej Cecenowo. Na przestrzeni wieków formy nazwy wsi ulegały zmianom i tak w 1229 roku nazywano ją Cezanowo, w 1249 – Ceczonowo, a w 1400 – Czecenowo. Ostatnia nazwa niemiecka brzmiała Zezenow.

Historia wsi sięga XIII wieku, bowiem pierwszą wzmiankę o Cecenowie odnajdujemy w dokumencie księcia gdańskiego Świętopelka z 1249 roku na mocy, którego to dokumentu nadaje on osadę klasztorowi norbertanek w Żukowie. Akt darowizny potwierdzony został w 1283 i 1313 roku. W 1510 roku majątek od klasztoru kupił Ewald v. Massow. Po wygaśnięciu męskiej linii tego rodu Cecenowo ponownie powróciło do klasztoru norbertanek, ale rok później, na skutek protestów rodziny v. Massow, konwent klasztoru potwierdził sprzedaż i dobra stały się własnością protestującej rodziny.

W 1735 roku od uderzenia pioruna wybuchł pożar, który zniszczył kościół oraz znaczną liczbę zagród. W rękach rodu v. Massow dobra pozostały do 1777 roku, gdyż wtedy majątek odkupił dyrektor urzędu ziemskiego, Moritz v. Wejher z Janowic. W 1784 roku we wsi był folwark, owczarnia, kuźnia, razem 34 dymy. W 1795 roku majątek przeszedł w posiadanie Caspra Wilhelma v. Zitzewitz. Zitzewitzowie to zachodniopomorska szlachta, której rodowód sięga wczesnego średniowiecza. Według Georga v. Zitzewitz, herb rodowy, przedstawiający czarno-białego, dwugłowego orła na biało-czerwonej tarczy, symbolizuje podwójny stosunek len-

ny rodu: Zakonowi Krzyżackiemu i królowi polskiemu.

W 1825 roku Cecenowo przejął najstarszy syn Caspra Wilhelma – Heinrich Christopfer Ernst v. Zitzewitz, zaś w 1864 majątek o obszarze 1215 ha objął jego syn, Ernst Heinrich Christian Wilhelm. Przed drugą wojną światową, oprócz majątku, funkcjonowało w Cecenowie 50 gospodarstw, miejscowość była ponadto uprzemysłowiona, istniały w niej między innymi: tartak, gorzelnia, zakłady rzemieślnicze wszystkich niemal branż, kilka sklepów oraz hotel.

Drastyczny przebieg miało zajęcie Cecenowa przez Armię Czerwoną

Według opisu Karla Heinza Pagela, 9 marca 1945 roku w Cecenowie znajdowała się bardzo duża grupa uciekinierów ze Słupska i okolic, poza tym stacjonowały tu Batalion Obrony Krajowej (Landeschütz) oraz Volkssturm ze Słupska i Volkssturm z Ustki. Rosjanie pojawili się we wsi między godziną 12 a 13. Były ostrzały pancerne i piechoty. Walki trwały kilka godzin. Osiemdziesięciu nieumundurowanych żołnierzy Volkssturmu zostało zgładzonych strzałami w tył głowy, później pogrzebano ich w masowym grobie. Pięciuset uciekinierów uwięziono i przetrzymywano w pałacu do Zielonych Świątek. Po opróżnieniu pałacu z uchodźców Rosjanie urządzili w nim kołchoz. Dwa największe transporty przesiedleńców – byłych mieszkańców Cecenowa odprawiono we wrześniu 1946 oraz we wrześniu 1947 roku, chociaż wcześniej niektórzy również wyjeżdżali do Niemiec,

Cecenowo było znaczącym ośrodkiem skupiającym Kaszubów. W 1642 roku odprawiano tu jeszcze nabożeństwa w języku kaszubskim. Ostatnie kazanie po kaszubsku wygłoszono w 1876 roku, natomiast w roku 1780 aż siedemdziesiąt procent mieszkańców Cecenowa nie znało języka niemieckiego.

bowiem pod koniec wojny ludność, a szczególnie dzieci dziesiątkowały choroby (difteryt, tyfus, dżuma płucna). Straty wojenne dawnych mieszkańców wsi przedstawiają się następująco: 27 poległych, 6 ofiar cywilnych, 54 zaginionych w niewyjaśnionych okolicznościach. Po wysiedleniu 222 osoby zamieszkiwały na terenie RFN i 192 na terenie byłej NRD. Ostatni właściciel majątku Wilhelm Zygfryd v. Zitzewitz 29 września 1949 roku zamieszkał w Sztutgardzie.

Pałac stanął w miejscu wcześniej istniejącego dworu

Pałac w Cecenowie wybudował w latach 1812 - 1814 Gasper Wilhelm v. Zitzewitz. Obiekt w 1825 roku wydzierżawił Christopher Ernst v. Zitzewitz i od 1858 roku rozpoczął dobudowę nowego skrzydła oraz zabudowań gospodarczych. Rozbudowa trwała do 1868 roku, z tym, że po śmierci Christiana Ernsta, która nastąpiła w 1864 roku, dzieło kontynuował Ernst Henrich Wilhelm v. Zitzewitz. Ostatnim właścicielem pałacu, wraz z majątkiem, z rodu Zitzewitzów został natomiast w 1918 roku wspomniany już Wilhelm Zygfryd Otto Martin v. Zitzewitz, który gospodarzył do czasu upaństwowienia majątku w 1945 roku. Po wojnie pałac przez wiele lat nie był użytkowany. Później przejęty został przez PGR Cecenowo.

Najstarsza część pałacu, zbudowana w początkach XVIII w. zlokalizowana została w miejscu wcześniej istniejącego drewnianego dworu, z którego pozostawiono wkomponowaną później nad drzwiami do sieni w korpusie głównym murowanego obiektu, drewnianą belkę z datą 1687. Pałac, oficyna i zabudowania gospodarcze utworzyły kompleks, rozłożony na dużej parceli w kształcie trapezu. Powierzchnia użytkowa pałacu wynosiła 963 m kw. Budowla usytuowana została w północnej części miejscowości. Wiedzie doń brukowa droga, obsadzona z obydwu stron starodrzewiem.

Fasada korpusu głównego pałacu od strony zachodniej graniczy z ustawioną prostopadle oficyną. Skrzydło natomiast wzniesione zostało na planie wydłużonego prostokąta. Korpus główny również wzniesiono na planie wydłużonego prostokąta, jego bryła to parter z piętrem w mansardzie, skrzydło zaś jest dwukondygnacyjne. Mury wzniesione zostały z cegły i poligonalnie ułożonych kamieni. Całość została otynkowana i pokryta dachówką holenderską.

Za pałacem znajdowała się fontanna i basen

Park przylega do pałacu od północy. Na mapach katastralnych z 1863 roku

teren za pałacem oznaczono jako ogród – park. Wzdłuż zachodniej granicy siedliska rósł las. Z tego okresu pochodzą zadrzewienia zachodniej części parku, północną część stanowiły sady. Część parku bezpośrednio za pałacem była płaszczyną trawnikową z owalnym gazonem, na niej swobodnie rozmieszczono grupy drzew z usytuowanymi egzemplarzami ozdobnymi (tulipanowiec amerykański, buk pospolity, daglezie, jodły kaukaskie). W drugiej połowie XIX w. wzbogacono park o elementy krajoznawcze, między innymi przedłużono oś założenia w kierunku północnym i tak, park dochodził do obniżenia łąkowego. Części gospodarczej nadano regularny układ przez podział na kwatery. Przy północnej granicy posadzono drzewa i krzewy ozdobne (grupy cisów, trzmielinę). Przy pałacu dosadzono grupę brzoź brodawkowych i świerki kłujące.

Od 1918 roku o park dbała żona Wilhelma Zygfryda Otto Martina v. Zitzewitz – Eleonora. Wówczas park ogrodzony był murem, za pałacem znajdowała się fontanna i basen. Do pałacu przybudowano cieplarnię. W niej hodowano palmy, które wystawiano w lecie do ogrodu. Część terenu zdołało mnóstwo kwiatów i różnych krzewów. W parku urządzono plac do tańców. Na zachód od parku założono stawy dla hodowli karpia. Powierzchnia parku wynosiła ok. 6 ha.

Część wjazdową kształtują budynki i podwórze gospodarcze

Głównym elementem kompozycyjnym jest aleja wjazdowa do pałacu o długości 180 metrów, obsadzona jesionami wyniosłymi i kasztanowcami. Początek i koniec brukowej alei podkreślają murowane słupy. Od strony wschodniej znajdują się stawy – jeden użytkowany na zbiornik przeciwpożarowy oraz budynki mieszkalne z pierwszej połowy XX wieku.

W parku odnotowano następujące egzemplarze drzew: cis pospolity, jodła, daglezie, świerk pospolity, świerk kłujący, topola czarna, brzoza brodawkowata, buk pospolity, dąb szypułkowy, dąb bezszypułkowy, tulipanowiec amerykański (jeden egzemplarz o obwodzie 4 m) czeremcha pospolita, klon pospolity, kasztanowiec biały, lipka drobnolistna, jesion wyniosły. Wskutek zaniedbania czarny bez koralkowy, śnieguliczka, jaśminowiec, berberys, rokitnik i bluszcz pospolity utworzyły rozrośnięty podszyt.

Stan zdrowotny i wygląd wielu drzew od dawna budził zastrzeżenia. Park pozbawiony opieki permanentnie dziczał i ulegał świadomej dewastacji. Następowywały ubytki w drzewostanie, na przykład nie ma już orzecha włoskiego. Na skutek braku pielęgnacji nastąpiły: zatarcie



ścieżek, rozrost krzewów i podrostów. Część sadu zagospodarowana była na plac zabaw dla dzieci. Otwarte polany zarosły chwastami, za pałacem założono ogródki warzywne, zatarciu uległ owalny gazon, zniszczono ozdobne latarnie na słupach przy bramie wjazdowej, wykonano nowe ogrodzenie. Park mimo to jest największą grupą zieleni wysokiej we wsi. Tworzy tło i otoczenie tak samo mocno zniszczonego i zdewastowanego pałacu.

Najmniejsza kaszubska parafia

O pierwszym kościele w Cecenowie wzmianka pochodzi z czasów protestanckich z 1590 roku, wówczas podczas wizytacji kościelnej do ewangelickiej parafii w Cecenowie przydzielono pobliskie Pobłocie. W 1710 roku parafia cecenowska nazywana była najmniejszą parafią dystryktu kaszubskiego, w skład której wchodziły tylko dwie wsie. Ponadto, jak podaje autor „Schematyzmu Diecezji Koszalińsko-Kołobrzeskiej z 1982 roku”, ojciec Piotr Tadeusz Mielczarek, kościół w Cecenowie posiadał kiedyś zbiór Lekcji i Ewangelii, pieśni i modlitw oraz kazań w języku kaszubskim. Działali tu pasto-



Fot. SAS

rzy Schimansky, Lorek oraz Ziegler, którzy zajmowali się badaniami społeczności kaszubskiej.

Obecny murowany kościół, położony w południowo - wschodniej części i zbudowany w miejsce starego, który posiadał konstrukcję szkieletową a wznoszony był w latach 1867-1868. Patronem świątyni była rodzina v. Zitzewitz, która również ufundowała w większości jego wyposażenie. Plac przykościelny, otoczony murem z polnych kamieni, pierwotnie był placem cmentarnym. Obok placu kościelnego na rozdrożu, przy bramie wejściowej ustawiono pamiątkowy obelisk z głazu narzutowego poświęcony poległym w pierwszej wojnie światowej.

Kościół położony jest na osi wschód - zachód, osadzony został na fundamentach z ciosów granitowych, mury wzniesiono z cegły o układzie krzyżowym, posiada konstrukcję dachu rozporowo - zastrzałową ze ścianą stokową, dach pokryty został dachówką karpiońską układaną w podwójną koronkę. Wieża o wysokości 36 metrów, kryta dachówką ocynkowaną, zakończona została żelaznym krzyżem.

Wnętrze kościoła jest jednonawowe z sześcioboczną absydą zwieńczoną ostrołukowym sklepieniem. Strop nad nawą jest balkonowo-deskowy. W bocz-

nych ścianach znajdują się dwa rzędy ostrołukowych okien bez maswerków. W górnym rzędzie wkomponowano duże okna, w dolnym - małe podwójne okienka. W prezbiterium i w nawie są okna z witrażami. Konstrukcję witraży tworzy siatka złączy ołowianych z ukośnych linii w szczytach imitująca maswerki i podział okna na dwa skrzydła.

Środkowy witraż w prezbiterium przedstawia Pana Boga, poniżej wkomponowano tarczę herbową z gryfem i tarczą z orłem dwugłowym. Witraże boczne oparte zostały na motywach dekoracyjnych. Jeden z witraży w nawie przedstawia tarcze herbowe Stojentínów i Zitzewitzów, drugi jest o motywach religijnych. Na jednym z witraży umieszczono napis: „Wilhelm und Adeline Zitzewitz geb. Natzmer”.

Posadzkę w prezbiterium wyłożono z płytek w kolorze ceglany, środek nawy pokrywają płytki beżowo - czarne, po bokach ułożono podłogę z desek. Emporium bocznym, drzwiom wejściowym, organom i ambonie, stanowiącym wewnętrzny wystrój kościoła, pierwotnie nadano styl neogotycki. Do nowego kościoła przeniesiono część starego wyposażenia; były to sześcioramienny mosiężny żyrandol ufundowany w 1684 roku przez Hansa Hüfta i jego żonę Annę Zülsken i obraz przedstawiający pastora Lorka (autora opisu stroju kaszubskiego z 1820 r.). Obydwu przeniesionych elementów starego wyposażenia kościoła obecnie brak.

Organy posiadają informację o wykonawcy: „Nr 160 B. Grünberg, 1875 r. Stetin”.

Większość wyposażenia kościoła ufundowana została przez patronów, to jest rodzinę v. Zitzewitz. Ośmioboczną chrzcielnicę z szarego marmuru w kształcie kielicha ofiarował Otto v. Krckow na pamiątkę szczęśliwego powrotu z wojen 1870 - 1871. W chrzcielnicy znajduje się znacznie starsza misa cynowa z uszkami, sygnowana puncą baranka z chorągiewką. Mosiężne dzwony z 1741 roku zostały przetopione w czasie pierwszej wojny światowej, a zastąpiły je później żelazne z 1923 roku. Do kościoła wchodzi się przez dwuskrzydłowe drzwi ostrołukowe z kutymi zawiasami oraz rytą, przy górnej i dolnej krawędzi, dekoracją. Kubatura bez poddasza wynosi 1227,3 m. sześć., a powierzchnia użytkowa 245 m kw.

Proboszczami ewangelickiego zboru w Cecenowie byli kolejno: Hieronimus Raterbach (Rattenbach) 1590 - 1638, Simon Blifflins (Bliffling) 1638 - 1663, Andreas Gabriel 1663 - 1694, Daniel Gabriel 1694 - 1726, Georg Beher 1728 - 1744, Michael Benjamin RaHS 1744 - 1751, Georg Tleifsrer 1751 - 1757, Paul Gotthard Mmampe 1757 - 1751, Johan Jakob Schimansky 1773 - 1805, Gottlieb Leberecht Lorek 1806 - 1837, Emil Gottlieb August Ziegler 1837 - 1884, Albrecht Gustaw Otto Schulze 1885 - 1908, Franz Ferdinand Bruno Krössin 1909 - ?,

Todt ? - 1922, Ewald Sprondel 1922 - 1927, Paul Hinz 1927 - 1934, Alexander von Derschau 1934 - 1945 (46).

Od początku selezjanie

Od poświęcenia dokonanego 4 listopada 1945 roku kościołowi w Cecenowie patronuje Wniebowzięcie Naświętszej Maryi Panny i jest on świątynią katolicką. Od maja 1946 roku obsługiwali ją duszpasterze z Główczyz, a następnie po ustanowieniu 30 sierpnia 1952 roku odrębnej placówki duszpasterskiej w Stowieńcinie, dekretem z 5 grudnia 1952 roku kanoniczną jurysdykcję na Cecenowo otrzymał selezjanin ks. Zygfryd Raiter.

Pierwszym samodzielnym wikariuszem na Cecenowo, jako wikariusz w Stowieńcinie, ale już z rezydencją w Cecenowie został wyznaczony kolejny selezjanin ks. Henryk Frączek i praktycznie on samodzielnił je, bowiem od 1959 roku istniał w Cecenowie wikariat samodzielny, od tego również czasu prowadzono tu odrębne księgi metrykalne: chrztów, ślubów i zmarłych. Z uwagi jednak na przeszkody stawiane przez władze państwowe PRL-u, parafię erygowano dopiero 2 października 1973 roku.

Salezjanami obsługującymi kolejno kościoł w Cecenowie - jako samodzielnym wikariatem od 1959 roku do czasu kanonicznego ustanowienia parafii, ale posiadającymi uprawnienia proboszczów byli: ks. Henryk Frączek 1959 - 1962, ks. Leonard Rynkun 1962 - 1965, ks. Ludwik Karczewski 1965 - 1969, ks. Tadeusz Malawski 1969 - 1972 (zm. 21 czerwca 2005 r.) oraz ks. Henryk Ignaczewski 1972 - 1974; ten ostatni oraz jego następcy od października 1973 roku byli już formalnie uznawani przez władze państwowe jako proboszczowie, a następcami byli: ks. Tadeusz Gębiski 1974 - 1978, ks. Lzydor Sadowski 1978 - 1984, ks. Stanisław Szoka 1984 - 1989 (zm. 28 lipca 1993 r. w Szczuczynie na Białorusi) oraz ks. Zdzisław Toll 1990 - 1998. Ponadto jako rezydent pomocą duszpasterską służył ks. Edward Jarliński 1968 - 1974 (zm. 11 czerwca 1976 r. w Czerwińsku) oraz ks. Czesław Chmielewski 1995 - 1998. W latach 1986 - 1987 praktykę pedagogiczną - duszpasterską odbywał tu również kl. Andrzej Panachida (po święceniach udał się na misje do Afryki).

Zgromadzenie Salezjańskie w 1998 roku przekazało parafię, a wraz z nią kościół Diecezji Pelplińskiej i pierwszym proboszczem diecezjalnym w Cecenowie mianowany został ks. Mariusz Kajewski 1998 - 2001 (zmarł 28 sierpnia 2001 r.), a jego następcą ks. Kazimierz Gajda objął parafię 30 września 2001 roku i powierzony urząd piastuje do dziś.

Eugeniusz Wiązowski
Kobylnica



Mam pomysł na znalezienie wraku

W kwietniu br. znalazłem w „Super-Expressie” spory artykuł o planowanej ekspedycji pięciu poszukiwaczy z Morskiej Agencji Poszukiwaczy, wyruszających na spotkanie wraku pierwszego „Orła”. Potwierdza się, że tajemnice wokół służby - a zwłaszcza utraty - tego okrętu są czymś w rodzaju powracającej melodyjki, która raz wywołana co rusz powraca. Ostatnio na łamach „Focusa-Historia” (Nr 4/07), ale niestety, z „bykami”: na okrętach wojennych nie ma bowiem mostków kapitańskich, są za to pomosty dowodzenia; okręt nosił znak taktyczny 85A, a nie A-85.

Odnalezienie wraku najślawniejszego z polskich okrętów XX wieku powinno interesować przede wszystkim Polską Marynarkę Wojenną. Z jakichś przyczyn nasze siły morskie dość starannie unikały tego tematu w przeszłości, a i dziś niespecjalnie lgną do sprawy „Orła”. Naszych marynarzy bardziej interesują wraki jednostek dawnego wroga - pamiętamy, jak całkiem niedawno wybuchła sprawa z „Grafem Zeppelinem” (której nie będę tu szczegółowo omawiać, choć wiem na temat „GZ” całkiem sporo). Sporych jednostek hydrograficznych i ratowniczych nie brakuje pod naszą banderą wojenną i co najmniej piętnaście lat temu, Polska Marynarka Wojenna powinna była sama zorganizować ekspedycję poszukiwawczą wraku „Orła”. Nie doczekaliśmy się takowej do dziś, a ja osobiście uważam to za grzech zaniedbania po stronie jej dowództwa.

To, za co „Orła” się kocha, to jego przygoda w Tallinnie. Oto relacja R. Vachera na temat tej przygody zamieszczona w tygodniku „Polska Walcząca - Żołnierz Polski na Obczyźnie”, wychodzącym wówczas w Paryżu (w moim opracowaniu i z przypisaniami):

Początek wojny

„Orzeł” rozpoczął wojnę z załogą składającą się z dowódcy [1], zastępcy dowódcy [2], czterech oficerów i 54 marynarzy i jak wszystkie polskie łodzie podwodne usiłował znaleźć w pierwszych dniach wojny jakąś jednostkę nieprzyjacielską. Niestety. Na całym Bałtyku nie było śladu ani barki, ani statku handlowego. Niemcy nie odważali się wypływać z obawy przed torpedami. Po kilku dniach patrolowania „Orzeł” został zaatakowany przez okręty wojenne, które rzuciły na niego dziesięć bomb. Musiał się zanurzyć i zostać pod wodą, z odstawionymi silnikami aż do wieczora. Gdy nastąpiła noc, wyruszył w stronę wybrzeża niemieckiego zostając ciągle pod wodą. W pobliżu wyspy Götland przepłynął pod zaporą min słysząc, jak minliny ocierały się o jego burty. Tam pełnił straż przez dziesięć dni, obserwując bacznie horyzont. Raz tylko przepłynął statek handlowy, zbyt daleko, aby go można było osiągnąć. Wszystkie inne statki pozostawały na wodach terytorialnych Szwecji, na północ od Götland.

Przybycie do Estonii

Wobec tego, że dowódca okrętu zachorował na tyfus, a jeden z kompresorów

był uszkodzony, dowództwo „Orła” zwróciło się 13 września do władz Estonii z prośbą o pozwolenie na zawinięcie do jednego z jej portów, aby naprawić uszkodzenia i wysadzić swego chorego. Polska łódź podwodna wpłynęła do Tallinna, gdzie natychmiast ustawiono straż dookoła okrętu. Jeden z oficerów estońskich uprzedził zastępcę dowódcy, że lepiej będzie dla jego okrętu, jeśli natychmiast opuści port. Oficer polski odpowiedział mu, że według umowy międzynarodowej ma prawo pozostać przez 24 godziny w porcie neutralnym, aby móc dokonać potrzebnych reperacji. Estończycy zgodzili się na to, że okręt zostanie przez 24 godziny w ich porcie. Na nie szczęście dla „Orła” w porcie stał niemiecki statek handlowy [3] „Thalatta”, który miał następnego dnia stamtąd wyruszyć. Prawo międzynarodowe nakazywało polskiemu okrętowi podwodnemu pozostać w porcie co najmniej jeszcze przez 24 godziny po odpłynięciu statku nieprzyjacielskiego.

Gdy tylko załoga „Thalatty” ujrzała polski okręt podwodny, natychmiast ściągnięto banderę oraz zamaskowano nazwę statku i znak armatorski na kominie, zakrywając je brezentem. W nocy z 14-go na 15-go września „Thalatta” opuścił port. W chwili wyjścia statku niemieckiego, na

pokład „Orła” weszli marynarze estońscy. Polacy przypuszczali, że przyszedli po to, aby pomóc przy naprawach, ale ta iluzja szybko się rozwiła. Oficerowie i marynarze mieli po prostu rozkaz zajęcia okrętu i objęcia na nim straży. Gdy dowódca okrętu, kpt. mar. Grudziński, udał się z wizytą do poselstwa polskiego, ze zdziwieniem usłyszał, że władze estońskie nie zawiadomiły wcale poselstwa polskiego o przybyciu polskiego okrętu podwodnego, ale natychmiast dały o tym znać poselstwu niemieckiemu.

Niespodziewane internowanie

Widząc, że przedstawiciele władz morskich Tallinna wchodzą na pokład, oficerowie polscy czym prędzej zniszczyli księgę szyfrów i dokumenty tajne. Estończycy zaczęli wówczas rozbrajać okręt. Zabrali zamki armatnie, karabiny, większą część amunicji, czarnaścice torped i wszystkie mapy nawigacyjne. W sobotę wieczór, 17 września, po ukończeniu napraw, dowódca okrętu zwołał oficerów i zakomunikował im, że nie chce dopuścić do internowania [4]. Estończycy w większej części opuścili okręt, oświadczając, że chcą odpocząć w niedzielę, a w przyszły poniedziałek będą w dalszym ciągu wyładowywać torpedy. Na straży na okręcie pozostało tylko kilku marynarzy estońskich [5]. Po uprzedzeniu załogi polskiej w najgłębszej tajemnicy przygotowano wszystko, aby „Orzeł” mógł opuścić Tallinn o północy. Na nieszczęście około północy przyszedł estoński oficer na inspekcję straży, która została na pokładzie i dookoła okrętu. Trzeba było znowu cierpliwie czekać na odpowiednią chwilę do wykonania zamiaru.

Ucieczka

Nagle, o drugiej nad ranem, obezwładniono [6] straż estońską, przecięto liny i linię telefoniczną, łączącą straż z miastem, motory zaczęły pracować z najwyższą szybkością i okręt podwodny ruszył w pogroźonym w zupełnych ciemnościach porcie, szukając bez żadnych map swojej drogi. Przechodząc urwał występ jednego z doków i uszkodził falochron. Wkrótce opuścił port, ale zawadził o skałę, co zmusiło go do cofania się, aby się uwolnić od przeszkody.

W tzw. międzyczasie w porcie podniesiono alarm: jeden z okrętów estońskich zaczął strzelać do „Orła”, pociski z broni maszynowej odbijały się od jego pokładu, ale nie zraniły nikogo. Bateria nadbrzeżna jednej z wysp sąsiednich oświetliła swoim reflektorem „Orła” i otworzyła ogień. „Orzeł” zanurzył się w ten sposób umknął prześladowcom. Został pod wodą do godziny 20-ej. Później napotkał kilka fińskich okrętów wojennych.

Uciekając, „Orzeł” zabrał ze sobą dwóch nieszczęśliwych estońskich maryna-

rzy pełniących straży, którzy nie wiedzieli, co się z nimi stanie. Zamiarem dowódcy było wysadzić ich na terytorium estońskim; ale po podsłuchaniu emisji radiowej z Londynu dowiedział się, że oskarżano załogę „Orła” o zabicie tych marynarzy. Wywnioskował, że zbliżenie się do Estonii mogłoby być niebezpieczne. Wobec tego wysadzono obu Estończyków w małej łodzi [7] na wyspę Götland, na terytorium neutralnym – w pełni zdrowia, zupełnie wypoczętych po wszystkich wzruszeniach, zaopatrzonych w żywność, whisky i dostateczną ilość pieniędzy, aby mogli wrócić do Tallinna [8]. Zabrali ze sobą także list skierowany do admirała estońskiego z przeprosinami za tak nagłe wyjście z portu i za uszkodzenia, jakich doznał falochron portowy. [...]

Wiadomo, że jest co najmniej kilka (siedem?) wersji miejsca i przyczyny utraty „Orła”. Najbardziej prawdopodobne są dwie – brytyjska mówi o zatonięciu okrętu na polu minowym, zaś niemiecka mówi o zbombardowaniu „Orła” przez niemiecki samolot „na środku Morza Północnego” w dniu 29 maja 1940 roku. Jakkolwiek było – wiadomo, że po 29 maja 1940 roku dowództwo okrętu nie potwierdziło już przyjęcia żadnego z nadawanych przez dowództwo radiogramów z rozkazami już to zmiany sektora, już to zakończenia patrolu, których było, o ile pamiętam, cztery.

Ciekaw jestem reakcji poszukiwaczy z MAP na ewentualne odnalezienie wraku „Orła” nie noszącego na sobie śladów, świadczących o śmierci okrętu wskutek działań bojowych. Na forum internetowym Stowarzyszenia Grupy Poszukiwawczej Wraku „Orła” pojawił się (chyba w 2005 roku) dziwny list do p. M. Nowaka, sławnego poszukiwacza różnych zatopionych skarbów, o filmie dokumentalnym z wrakiem pewnego „podwodniaka” w tle. Nakręcono ten film na Morzu Północnym podczas jakichś prac, związanych z rurami i ropą, a sfilmowany tam zatopiony „ubot” podobny był do „Orła”, jak dwie krople wody (?). Oto ten list (cytuję in extenso):

„Otóż pokrótce napiszę panu o tym zdarzeniu: m/v Northern Horizon pływał po Morzu Północnym na polach naftowych. Do zadań należała kontrola rurociągów położonych na dzień świeżo z Large Barge, numeru nie pamiętam: duża barka, wypchana rurami i polskimi spawaczami. Statek posiadał na pokładzie „Arovi” – mały pojazd podwodny na kołach, który obejmował tymi kołami rurę i przesuwał się po niej kilometrami; jeżeli był problem, kasetę video z nagraniem drogą przewoziło się pontonami na statki odpowiedzialne za produkcję. Na ogół statki te posiadały lądowiska helikopterów. Przewiozłem kasety na surveya i musiałem poczekać na inne dokumenty, ponieważ pogoda była

ok. przycumowaliśmy do burty i zostaliśmy zaproszeni na kawę. W sali na monitorze leciała kasetą z poprzednich dni, i klatka po klatce, na podglądzie powoli, załoga tamtego statku oglądała leżący na dnie okręt podwodny. Widziałem, jak kamera przechodzi nad pokładem z lewej burty na prawą. Uderzyło mnie, że na kiosku były duże bulaje, a przed kioskiem mniejsze pomieszczenie, tworzące z kioskiem całość. Na pokładzie dziobowym brak było działa jak na U-Boocie. Okręt stał na stępce z przechyłem może 5 stopni na prawą burzę. Nie chcę spekulować na temat Orła, ale tamten okręt posiadał bardzo łagodną linię kiosku, prostokątny otwór bez włazu. Kiedy podałem kasetę, tamci wyłączyli wideo i włączyli naszą. Zapytałem, skąd mają ten film. Odpowiedź brzmiała, że „dzisiaj nagrali”. Statek ten szedł przed nami, sprawdzając, czy dno jest wolne od przeszkód. Powiedzieli też, że wrak nie przeszkadza w kładzeniu rur. Lokalizacja wraku nie jest mi znana. Rury szły od brzegów Norwegi do Niemiec wzdłuż Półwyspu Jutlandzkiego” [...]

Jeśli okazałoby się, że obiekt pokazany na filmie to wrak „Orła” – to byłaby to nie lada sensacja, przewracająca ten fragment dziejów PMW pod czas II wojny światowej do góry dnem, bo to znaczyłoby, iż okręt wcale nie zginął wskutek najechania na minę/miny czy zbombardowania przez samolot, tylko wskutek wypadku.

Co prawda, ja tu nie siedzę po archiwach, ale pomysł na znalezienie wraku „Orła” mam: należy po prostu dokładnie przeszukać całe dno Morza Północnego. Pomysł ten sprzedałem w 2004 roku doktorowi Ballardowi (pamiętacie: Titanic, Bismarck, Lusitania, Steuben itp.) i Instytutowi National Geographic, którzy razem mają, obok wiedzy i sprzętu, sporo szczęścia. Jeśli poszukiwaczom z MAP-u sztuka się nie uda – proponuję powrócić do p. Ballarda i NGI. Oni na pewno odnajdą wrak „Orła”, jeśli w ogóle jest jeszcze czego szukać.

Wojciech M. Wachniewski, Słupsk

Przypisy:

1. *Kmdra por. H. Kłoczkowski*
2. *Kpt. mar. J. Grudzińskiego*
3. *Zbiornikowiec, ex J Schindler*
4. *Skądinąd wiadomo, że inicjatorem planu ucieczki z Tallinna był ówczesny zastępca dowódcy Orła, por. mar. Andrzej Piasecki.*
5. *Byli to – starszy marynarz R. Kirikmaa i podoficer B. Mahlstein.*
6. *Wartownik w centrali został sterroryzowany pistoletem przez jednego z podoficerów Orła.*
7. *...wiosłowej – nota bene jedynej, jaką Orzeł miał.*
8. *Dowódca Orła powiedział podobno na odchodnym obu Estończykom, iż „z zaświatów nie wypada wracać inną klasą, niż pierwszą”.*

Pod Krzyżem Hanzeatów

Od wieków ludzie traktowali katastrofy morskie jako fatum, na które nic nie mogli poradzić, bądź jako karę, zsyłaną przez siły nadprzyrodzone za różne grzechy i grzeszki, popełniane przez człowieka. Nie zawracano sobie bynajmniej głów odpowiadaniem na pytania w rodzaju: czy i od kogo ofiara morskiej katastrofy może oczekiwać pomocy bądź ratunku?

Nieszczęście, dotyczące marynarzy z ginących statków traktowane było jak dopust Boży, coś, czemu nie można się było przeciwstawić. Takie podejście zgodne było z „duchem” tamtych czasów. Mieszkańcy wybrzeży i wysp nie wyróżniali się swoją obojętnością od reszty ludzi, choć właśnie na brzegach i wyspach zgodność z owym „duchem” objawiała się szczególnie.

Łódź ratująca rozbitków

Oto jednym z ówczesnych przywilejów rodów panujących bądź szlacheckich było piractwo w dość specyficznej formie tzw. ius naufragii. W myśl tego prawa ludzie, którzy ocalili z katastrofy statku, stawali się niewolnikami, a tak zwany kaduk, czyli przedmioty wyrzucone na brzeg z wraku – stawały się własnością władcy bądź mieszkańców danego wybrzeża. Bardziej humanitarne podejście do sprawy ratownictwa brzegowego datuje się dopiero na początek wieku dziewiętnastego.

Oto już w roku 1802 stowarzyszenie kupców w niemieckim podówczas mieście portowym Memel nad Bałtykiem utrzymywało na własny koszt specjalną łódź, służącą ratowaniu rozbitków ze statków. W czterdzieści osiem lat później na wybrzeżach Bałtyku pojawiły się kolejne stacje ratownicze, założone przez władze Prus i podlegające lokalnym stacjom pilotowym. Liczba ich sięgnęła dwudziestu. Z początku jednak ich działanie nie cieszyło się bynajmniej zbytnim zainteresowaniem i większość owych stacji musiano po kilku latach zwyczajnie pozamykać.

W listopadzie roku 1854 podczas silnego sztormu rozbił się na brzegu wyspy Spiekeroog emigrancki statek żaglowy Johanne. W katastrofie utonęły 84 osoby. Był to jeden z wielu takich przypadków: według ówczesnych statystyk, u samych tylko brzegów niemieckich wysp na Morzu Północnym katastrofom i awariom ulegało ponad pięćdziesiąt statków rocznie! Jednym z nich był w roku 1860 bryg Alliance, który zakończył swą morską karierę na strasznej dla statków Borkum-Riff. Tym razem nikt nie ocalał...

W owych czasach, to jest w drugiej połowie XIX stulecia, tu i ówdzie w najlep-

sze stosowano jeszcze ius naufragii, nie potrafiono należycie organizować akcji ratowniczej z brzegu, a i sprzęt nie był najlepszej jakości, więc nic dziwnego, że podejmowane tu i ówdzie akcje kończyły się fiaskiem.

3 października 1860 roku w lokalnym tygodniku z Vegesack ukazał się artykuł, piętnujący beczynność mieszkańców wybrzeży w obliczu morskich tragedii. Jego autorem był dwudziestosiedmioletni podówczas nauczyciel nawigacji w miejscowej prywatnej szkole morskiej, Adolph Bempohl rodem z Gütersloh. Miał on niejaki doświadczenie morskie, jako że wcześniej bywał m.in. pierwszym oficerem na wielkich żaglowcach. Ówże pan Bempohl wraz z miejscowym adwokatem, Carlem Kuhlmayem, zwrócił się do redakcji wszystkich gazet wydawanych na północnych ziemiach niemieckich z apelem o zbiórkę środków finansowych, mających posłużyć do zakładania stacji ratowniczych na niemieckich wyspach Morza Północnego.

Zrzeszenie ratownicze

Apel panów Bempohla i Kuhlmayera został podchwycony przez doktora Arweda Emminghaua, redaktora gazety Bremer Handelsblatt, oraz przez starszego inspektora celnego z Emden – Georga Breusinga. Za sprawą i pod kierownictwem Breusinga, 2 marca 1861 roku założone zostało w Emden zrzeszenie ratownicze pod nazwą Verein zur Rettung Schiffbrüchiger in Ostfriesland. Pierwsze jego stacje powstały na wyspach Langeoog i Juist; wkrótce urządzono następne na kolejnych wyspach i na stałym lądzie.

W tym samym 1861 roku zaczęto zakładać podobne zrzeszenia ratownicze w Hamburgu (ze stacją w Cuxhaven) i Stralsundzie, a w 1863 roku – w Bremie (ze stacją w Bremerhaven). Nawoływania panów Bempohla i Kuhlmayera usłyszano m.in. właśnie w Bremie, gdzie od razu do rzeczy zabrała się Komisja Morska tamtejszej Izby Handlowej pod przewodnictwem sławnego armatora, konsula Hermanna Heinricha Meiera. I właśnie w starej Bremie sprawy nieco się przeciągnęły, bowiem wspomniana Komisja rozpoczęła swoją pracę od zlecenia zbadania sytuacji na



obszarze wybrzeża sięgającym od Wangerooge do Borkum ekspertowi o nazwisku Lüder Hindrichson. Pan ten poświęcił na to trzy tygodnie i wrócił z opinią, iż widoki dla ewentualnych stacji ratowniczych na wspomnianym obszarze nie są bynajmniej zbyt optymistyczne.

Zdaniem eksperta, gotowość miejscowych mieszkańców do narażania życia dla innych była, mówiąc delikatnie, wątpliwa, a i możliwości techniczne pozostawiały wiele, wiele do życzenia. Trudno było zwłaszcza o odpowiednie łodzie. Pod wpływem pesymistycznego raportu Hindrichsona pan Meier odniósł się do pomysłu Bempohla i jego kolegów z wielką rezerwą. Jeden z owych kolegów – dr Emminghaus – nie złożył bynajmniej zbyt szybko bronii; sprawa utworzenia na niemieckich wybrzeżach służby ratowniczej na modłę brytyjską i holenderską mocno legła mu na sercu. A było się o co bić, bowiem panu Emminghausowi chodziło, obok samego założenia wspomnianej służby ratowniczej, o utrzymanie jej względnej jedności i niedopuszczenie do nadmiernego rozdrobnienia. Poświęcił na to trzy lata ciężkiej pracy, ale w końcu przyszedł dwudziesty dziewiąty dzień maja 1865 roku, w którym powołano do życia w Kilonii ogólnoniemieckie stowarzyszenie dla ratowania rozbitek z morza pod nazwą Deutsche Gesellschaft zur Rettung Schiffbrüchiger. Od razu nie przystąpiły doń dwa zrzeszenia lokalne z Emden i z Hamburga, lecz z czasem i ich członkowie uznali, że warto połączyć siły. Dr Emminghaus zaproponował ponadto, aby pierwszym przewodniczącym Zarządu nowego stowarzyszenia został nie kto inny, jak wspomniany już H. H. Meier z Bremy, jeden z założycieli tamtejszego ND-Lu.

Meier, wybrany na przewodniczącego i powiadomiony o wyborze drogą telegra-

ficzną, przyjął stanowisko i natychmiast zabrał się do pracy. Po jego uprzedniej rezerwie nie pozostało śladu. Siedzibę Zarządu DGzRS przeniesiono do Bremy, a pierwszy przewodniczący od razu przysporzył nowej organizacji prestiżu. To właśnie H. H. Meier pozyskał dla młodego stowarzyszenia wysoko postawione osobistości, w tym i cesarza zjednoczonych Niemiec. Niemiecka służba ratownicza miała, stosownie do zamysłów swoich „ojców - założycieli”, wypełniać zaszczytny dla każdego Niemca obowiązek niesienia pomocy ludziom, znajdującym się w niebezpieczeństwie u niemieckich brzegów, a nadto czynić to bez jakiegokolwiek wsparcia z kasy państwa.

Zaraz po zakończeniu zebrania założycielskiego w Kilonii, jak grzyby po deszczu powstawać zaczęły kolejne stacje ratownicze. Ich sprzęt pływający stanowiąły otwarte łodzie wiosłowe, a pozostałe wyposażenie – m.in. aparaty do wystrzeliwania lin na odległość i specjalne, sprytnie urządzenia do zdejmowania ludzi z wraków statków. Należało też znaleźć ludzi na tyle odważnych, by gotowi byli podjąć niebezpieczną służbę humanistycznym ideałom i nie zważając na osobiste zagrożenie, wypływać na tych łodziach na ratunek potrzebującym. Jeśli chodzi o sprzęt pływający – to ani brytyjskie łodzie konstrukcji Peake’a, ani amerykańskie systemu Francisa nie sprawdziły się na niebezpiecznych wodach u niemieckich brzegów. DGzRS dorobiło się w ciągu lat własnego, oryginalnego systemu otwartych, wiosłowych łodzi ratunkowych, nazwanych z czasem „niemieckimi”.

W roku 1870, niezależnie od DGzRS, ukonstytuowało się w Berlinie stowarzyszenie, zwane VVzRS, czyli Vaterländischer Verein zur Rettung Schiffbrüchiger, które już po dwóch latach przyłączyło się do DGzRS, jako jego regularna filia. W roku

1872 Senat Wolnego Hanzeatyckiego Miasta Bremy przyznał stowarzyszeniu status „osoby prawnej”.

91 stacji ratowniczych

W dziesiątym roku swego istnienia DGzRS utrzymywało na niemieckich wybrzeżach Bałtyku i Morza Północnego już 91 stacji ratowniczych; w ciągu pierwszych dziesięciu lat działania stowarzyszenia jego ratownicy wybawili z różnych opresji 870 osób. W roku 1890 pomiędzy Borkum a Memlem było już 111 stacji ratowniczych, a liczba ochotników, gotowych natychmiast wyruszyć do akcji, przekraczała tysiąc. Nie koniec na tym, bowiem w tzw. międzyczasie powstało prawie 60 stowarzyszeń okręgowych i bez mała 260 tzw. „przedstawicielstw honorowych” DGzRS z niemal 49 tysiącami członków wspierających.

W roku 1911 służbę pod znakiem DGzRS rozpoczęła pierwsza łódź ratownicza o napędzie spalinowym – Oberinspektor Pfeifer. Do chwili wybuchu I wojny światowej do floty towarzystwa weszło siedem kolejnych łodzi motorowych. Prawdziwa jednak „inwazja” nowego napędu rozpoczęła się dopiero po pierwszej wojnie światowej, z chwilą zastosowania sprawnych silników Diesla. Wtedy zaczęły wchodzić do służby większe jednostki, zakryte pokładami i wyposażone w owe silniki.

Wskutek przegranej przez Niemcy wojny światowej także i DGzRS poniosło spore straty, odstępując zwycięzcom m.in. szereg stacji ratowniczych, w tym i te w rejonie Zatoki Gdańskiej; stacja w Kłajpedzie, wciąż nazywanej „Memel”, prowadzona była komisarycznie.

W następstwie burzliwego „rozkwi- tu” napędu dieslowskiego, tuż przed wybuchem kolejnej wojny światowej DGzRS

dysponowało już 39 motorowymi jednostkami ratowniczymi i 55 łodziami wiosłowymi. W skład wyposażenia stu jeden stacji ratowniczych wchodziło m.in. 71 aparatów do wyrzeliwania rzutek. Ilość członków towarzystwa przekraczała 58 tysięcy osób.

Pierwszego września 1939 roku wybuchła druga wojna światowa. DGzRS zachowało w jej trakcie pewną niezależność i w dalszym ciągu ratowało rozbitków, chronione Konwencją Genewską. Jednostki ratownicze towarzystwa oznaczono wtedy widocznymi z daleka czerwonymi krzyżami.

W roku 1942 liczba członków DGzRS przekraczała 170 tysięcy, a wymagania czasu wojny doprowadziły do budowy większych i silniejszych statków, które mogły m.in. pozostawać przez dłuższy czas na tzw. Seepositionen. Potem nadszedł maj 1945 roku. Po klęsce Niemiec nastąpiła dla wszystkich Niemców prawdziwa „godzina zero”. Objęła ona również ratowników. Pod przewodnictwem Konsula Hermana Helmsa, ówczesnego szefa Zarządu – DGzRS przystąpiło do odbudowy swojej struktury. Obszar działania niemieckiej służby ratowniczej objął wtedy obszar Deutsche Bucht na Morzu Północnym i tę część niemieckich wybrzeży zachodniego Bałtyku, która pozostała pod zarządem Brytyjczyków. Siedzibę Zarządu przeniesiono tymczasowo do Cuxhaven, jako że bremeńska została kompletnie zniszczona. W tym czasie ratownicy mogli liczyć na znaczącą pomoc ze strony okupacyjnych władz brytyjskich. Już w 1952 roku przekazano Zarządowi DGzRS nową siedzibę przy bremeńskiej Werderstrasse, w której ratownicy mają swą Centralę do dziś.

W latach pięćdziesiątych, na statku ratowniczym Bremen, rozpoczęto eksperymenty z zupełnie nową generacją jednostek. W ich wyniku miał powstać statek - matka, współpracujący z łodzią - córką, przewożoną „na barana” w specjalnej wannie na rufie. W ten sposób uwzględniono specyfikę niemieckich wybrzeży, gdzie płytkie wody nie pozwalają na wpływanie statkom dużym i dość głęboko zanurzonym. Znakomicie sprawdzić miały się tam łodzie - córki o potężnym napędzie i niewielkim zanurzeniu. Łodzie te otrzymywać miały swoje własne nazwy.

„Theodor Heuss”

12 lutego 1957 roku, w obecności patrona DGzRS, pierwszego prezydenta RFN, profesora Theodora Heussa, przekazano do służby pod Krzyżem Hanzeatów pierwszy z takich statków, któremu nadano imię Theodor Heuss. W latach następnych Towarzystwo otrzymało zrazu trzy dalsze jednostki tego typu, a potem służbę rozpoczęły kolejne ich generacje. W 1959 roku ratownicy niemieccy otrzymali przywilej zorganizowania VIII Międzynarodowej Konferencji Morskich Służb Ratowniczych. Weszli w

ten sposób na powrót do światowej „elity” służb ratowniczych.

W sześć lat później uroczyste obchodzono w Bremie i w całych zachodnich Niemczech setną rocznicę utworzenia DGzRS. W owym roku Towarzystwo utrzymywało 21 stacji ratowniczych na obszarze wspomnianej już Deutsche Bucht i zachodniego Bałtyku. W maju 1965 roku do służby pod znakiem Krzyża Hanzeatów weszły trzy dwudziestosiedmiometrowe statki ratownicze, którym nadano imiona trzech „pionierów” DGzRS: Adolph Bempohl (łódź Vegesack), Georg Breusing (łódź Engelke) i Arwed Emminghaus (łódź Alte Liebe). W tym samym roku praca ratowników niemieckich została po raz pierwszy oficjalnie dostrzeżona i doceniona przez władze RFN w osobie ówczesnego Federalnego Ministra Transportu Seeböhma, który złożył tym dzielnym ludziom hołd przed Komisją d/s Transportu ówczesnego Bundestagu w Bonn.

W kwietniu 1979 roku szefowie dwóch niemieckich resortów federalnych – Transportu i Obrony – podpisali porozumienie, dotyczące współpracy przy wykonywaniu zadań poszukiwawczo - ratowniczych w ramach służby określanej angielskim skrótem SAR. W trzy lata później DGzRS otrzymało oficjalnie zadanie poszukiwania i ratowania rozbitków ze statków i samolotów na obszarze Republiki Federalnej, przekazane mu porozumieniem, podpisanym w 1982 roku przez Przewodniczącego Zarządu Towarzystwa i Federalnego Ministra Transportu.

W sto dwudziestą rocznicę powstania, 29 maja 1985 roku, flota DGzRS wzbogaciła się o dwie pierwsze, 27-metrowe jednostki kolejnej generacji sławnych Seenotrettungskreuzerów – Berlin (łódź towarzysząca Steppke) i Hermann Helms (łódź Biene). Pierwszy z tych statków otrzymał swą nazwę dla uhonorowania zasług stolicy Niemiec dla sprawy ratowania rozbitków ze statków, zaś drugi – imię człowieka, który pokierował powojenną odbudową ratownictwa brzegowego u zachodnich wybrzeży Niemiec. Nazwę Steppke nadał łodzi towarzyszącej Berlina, rzec można, „sam Patron”: mieszkaniec jednego z tamtejszych sierocińców. Każda z nowych jednostek wyposażona została m.in. w profesjonalny zestaw do reanimacji i podtrzymywania zagrożonego życia ludzkiego oraz w potężne działka wodne do gaszenia ognia na morzu. Statki typu Berlin zastąpiły w służbie m.in. cztery jednostki sławnego typu Theodor Heuss. Te ostatnie jednak okazały się twarde i odeszły bynajmniej „nie wszystkie”. Jeden z tych statków (Ruhr-Stahl) trafił aż do Urugwaju w Ameryce Południowej (jako Ades III), a drugi narobił nie lada zamętu w samych Niemczech.

Dwie służby razem

3 października 1990 roku - dzień kolejnego zjednoczenia Niemiec – był

prawdziwie wielkim dniem zarówno dla ratowników spod znaku DGzRS, jak i ich kolegów z byłej NRD. Tego bowiem dnia obie służby ratownicze uroczyste się połączyły, na czym zyskały zwłaszcza obsady jedenastu stacji ratowniczych na wybrzeżach wschodnich Niemiec, od Insel Poel po Ueckermünde. „Na początek” ratownicy wschodniemieccy z Warnemünde otrzymali wspaniały statek typu Eiswette, któremu w dniu 27 listopada 1990 roku nadano uroczyste imię Vormann Jantzen. Kolejny nowoczesny statek ratowniczy, Arkona typu (Helms) – zastąpił w służbie w 1992 roku starszą jednostkę tej nazwy, zbudowaną jeszcze w latach siedemdziesiątych w Polsce.

We wrześniu 1994 roku w Büsum zatonał przy nabrzeżu statek DGzRS Fritz Behrens, staranowany przez manewrujący statek pasażerski First Lady. Obyło się bez strat w załodze, zaś statek następnie odbudowano.

Tymczasem, po prawie trzydziestu latach, powtórzyła się (niemal co do joty!) tragiczna historia Adolpha Bempohla...

Wydaje się, że statki DGzRS, chociaż niezatapialne, mają w pewnych warunkach tendencję do wykonywania pełnego obrotu dookoła własnej osi wzdłużnej i do „wyrząsania” przy tym swojej żałogi do morza. Warto bowiem zauważyć, że zarówno Bempohl, jak i Krupp uległy wielkim falom, z jakich słynie Mordsee: pierwszy z nich rzucony został najprawdopodobniej na własny Tochterboot, zaś drugi przekoziłkował.

Konstruktorzy nowych jednostek powinni zatem jeszcze poprawić dzielność morską statków (i tak już wspaniałą!) i opracować lepszy system zabezpieczenia dla Vormanna, prowadzącego statek w akcji z górnego, otwartego stanowiska dowodzenia.

Dzisiaj DGzRS – to ponad 40 stacji ratowniczych i w sumie 60 jednostek, od parumetrowych łodzi o potężnym dieslowskim napędzie i małym zanurzeniu, po budowany aktualnie – m.in. przez gdańskich stoczniovców – 46-metrowy „krążownik” ratowniczy kolejnej generacji, przystosowany do współpracy zarówno z własną łodzią towarzyszącą, jak i ze śmigłowcem, dla którego ma nawet lądowisko na pokładzie. Najliczniejsze wśród statków są dwie klasy: 27,5-metrowa Hermann Helms i 23-metrowa Eiswette w dwóch odmianach. Patronem Towarzystwa jest kolejny prezydent RFN, dr Johannes Rau, a przewodniczącym Zarządu – p. Hermann C Helms. Liczba ludzi, uratowanych przez ratowników spod znaku czerwonego Krzyża Hanzeatów od śmierci na morzu, zbliża się pomału do siedemdziesięciu tysięcy.

Wojciech M. Wachniewski
Słupsk

(Na podstawie materiałów DGzRS.)



ŚLADAMI MAXA PECHSTEINA



